Edmond Hamilton

Uciekinier z gwiazd

(Fugitive Of The Stars)

1965
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

Spadanie z bezgłośnym krzykiem przez pusty chaos zmagających się ze sobą sił wszechświata, wyrwanie z własnego wymiaru i gwałtowne rzucanie przez obce kontinua... tak to wyglądało, jeśli popatrzeć na to z jednego punktu widzenia.

Lecz zupełnie inaczej, rozmyślał Home, jeśli popatrzeć na to z jego perspektywy. To była podróż przez zaczarowane wyspy na brzegach wszechświata, ku wielkim latarniom obcych słońc, gdzie mgliste planety wyłaniały się w ich barwnym świetle, jak tajemnicze nowe Hesperydy, i pozostawały za twoimi plecami, a ty idziesz dalej i dalej, tajemnica za tajemnicą.

„Kłopot ze mną" — pomyślał z przekąsem, — „polega na tym, że wciąż mam w sobie wiele z romantycznego czternastolatka."

Daleko mu było do tego chłopca z Connecticut, który marzył o gwiazdach. Dzieliło go od niego osiemnaście lat w czasie i sto kilkadziesiąt lat świetlnych w przestrzeni. Pokonał długą drogę, lecz wciąż odczuwał dawny dreszczyk emocji, kiedy spoglądał do przodu przez okna kabiny pilotów. I sprawiało mu to przyjemność, nie tylko na skutek jego osobistych emocji, lecz także dlatego, że mógł dzielić te wspaniałe wrażenia z Vinsonem, młodym drugim pilotem, który odbywał swój pierwszy lot. Vinson większość czasu spędzał wpatrując się w okna, jak gdyby chciał wchłonąć w siebie wszystko, co był w stanie zobaczyć, aby zachować to sobie na zawsze, w niezmienionej formie.

Okna tak naprawdę nie były oknami. Na statku poruszającym się wielokrotnie szybciej niż światło, wykonującym skróty przez wymiary, wszystko, co można by było zobaczyć, to rozmazana, poskręcana nicość. Oczami statku były tak naprawdę instrumenty radarowe o fantastycznej prędkości i zasięgu, lecz ludzie i niemal-ludzie mieli swoje psychologiczne ograniczenia i już dawno temu stwierdzono, że piloci funkcjonowali lepiej, kiedy mogli oglądać swoimi fizycznymi oczami pewne podsumowanie i wizualizację informacji radarowych, zaprezentowane na przypominających okna ekranach.

Home spoglądał na piękno i niebezpieczeństwo. To były Obrzeża, gdzie nie zapuszczało się zbyt wiele statków międzygwiezdnych. Te roje gęsto stłoczonych słońc, w barwie przydymionej czerwieni i bladej zieleni, okrutnej bieli i ciepłego, charakterystycznego oranżu, wabiły i jaśniały jak legendarne wyspy. Ale mogły zwabić w niszczącą pułapkę. Niewiele było tu radarów czy też pomocniczych urządzeń nawigacyjnych, ponieważ znajdowali się daleko poza rozległą siecią Federacji. To były krańce galaktyki, a jeśli poleciałoby się dalej, łatwo można byłoby się znaleźć w czarnej pustce, ciągnącej się przez całą drogę aż do Andromedy.

Home powiedział do Denmana, trzeciego z ludzi obecnych w kabinie pilotów:

— Pięć, sześć razy latałem już przez Obrzeża i nigdy nie widziałem żadnej z tego dzikich planet, tylko kilka lądowisk przez parę godzin. Zazdroszczę ci.

— Lepiej, nie — odparł Denman. Był niskim, siwiejącym człowiekiem o wiecznie zmartwionym wyrazie twarzy, który stawał się coraz bardziej wyraźny w miarę pokonywanej drogi. Nie będąc członkiem załogi statku, nie miał prawa przebywać w kabinie pilotów *Vega Queen*. Był jednak członkiem personelu Federacji, więc kapitan Wasek dał mu pełną swobodę poruszania się po całym statku.

— Czego, nie? — spytał Home.

— Nie zazdrość mi. Dla ciebie Obrzeża mogą wyglądać jak uosobienie przygody i romantyzmu. A tak naprawdę, są bólem głowy. Dla mnie i dla Federacji.

Vinson zauważył wszechwiedzącym tonem:

— Wydaje mi się, że tak właśnie powinno być. Te prymitywne planety nie należą do Federacji. A jednak są od niej zależne, zwłaszcza jeśli chodzi o ochronę przed atakiem. Są zaś bardzo odległe i wymagają tyle biurokracji związanej z niezależnością, obserwatorami itd. …

— No cóż — stwierdził Denman, udając zdumienie — nasz mały drań potrafi czytać! Dokładnie tak, mój chłopcze. Tyle, że ty nie masz o tym zielonego pojęcia, dopóki sam nie przejdziesz przez to jako obserwator. — Po chwili dodał jeszcze ponuro: — Mam spędzić trzy miesiące na Allamar Dwa, jako obserwator. Mam nadzieję, że wciąż tam będę, kiedy zatrzyma się tu następny statek, żeby mnie zabrać.

Home poczuł lekki wstrząs.

— Myślałem, że humanoidzi na prawie wszystkich tych planetach są raczej przyjaźni.

Denman skinął głową.

— Byli. Wątpliwe, czy nadal są. Coś się tu dzieje. Dlatego zostałem tu wysłany. Kłopoty na Obrzeżach? Potrzebujesz obserwatora? Wyślij Denmana. W razie czego, można będzie spisać go na straty.

Jakby żałując swego niewielkiego wybuchu, Denman zacisnął usta. Nadal spoglądał kwaśno w okno, na którym widoczna była czerwona iskierka Binnotha, bliźniacze złote słońca Viry oraz, znacznie bliższy i jaśniejszy, niebiesko-biały rozbłysk Allamaru.

— Ale — zauważył Vinson, spoglądając teraz z zaciekawieniem na Denmana — na Allamar Dwa musieli poprosić specjalnie o pana, inaczej Rada Federacji by tam pana nie wysłała.

— Och, poprosili — odparł Denman z roztargnieniem. — A przynajmniej część z nich. Ale do tej pory mogli już zmienić zdanie. I nie myślałem wyłącznie o tubylcach z Allamaru…

Jego głos uleciał w pół słowa. Vinson nadal wpatrywał się w niego.

Home powiedział:

— Czas sprawdzić przyrządy nawigacyjne.

Vinson rzucił okiem na chrono i zerwał się na nogi.

— Przepraszam.

Podszedł do pulpitu nawigacyjnego. W głębokim kosmosie statek w zasadzie pilotował się sam, dzięki cybernetycznym urządzeniom sterującym. Jednakże nawet elektronicznym mózgom przydarzały się awarie i pilot człowiek musiał co jakiś czas sprawdzać wskaźniki alarmowe, które sygnalizowały taką niesprawność. Vinson pochylił się nad pulpitem, wysoki chłopak o szerokich ramionach, w nieskazitelnie wyglądającym mundurze, pełen dumy z pełnionej funkcji drugiego pilota na statku Federacji, pełen młodości, zachwytu i ekscytacji. Był też absolutnie w pełni kompetentny i Home zapomniał już o panelu nawigacyjnym. Odwrócił się do Denmana.

— Nie chciałbym wyciągać z ciebie informacji… — zaczął.

— To znaczy, że chcesz — odparł Denman.

Home uśmiechnął się.

— No dobrze, w takim razie chcę, ale nie krępuj się dać mi po łapach, jeśli zacznę przeginać. Czy te kłopoty na Obrzeżach mają jakiś związek z tym wszystkim, o co mnie pytałeś, o możliwych przylotach nieautoryzowanych statków, które się tu kręcą?

Denman skinął głową.

— Tak. — Home myślał, że to wszystko, co mógł mu powiedzieć, ale Denman chwili po dodał: — Z pewnością usłyszysz o tym na Allamar lub innym przystanku, więc równie dobrze mogę ci to powiedzieć. Nieautoryzowane statki rzeczywiście krążą po Obrzeżach. Statki niewolnicze.

Przez chwilę Home nie mógł zrozumieć, o co tutaj chodzi, sam pomysł był tak dziwaczny i obcy. Ciemna głowa Vinsona nad pulpitem nawigacyjnym wystrzeliła w górę.

Home w końcu powiedział:

— Statki niewolnicze? Masz na myśli polowanie na humanoidalnych niewolników...?

— Tak. Dlaczego ktoś miałby pragnąć tych biedaków, nawet jako tanią siłę roboczą, nie wiem. Ale docierają do nas skargi. Wysłali więc Denmana, żeby się temu przyjrzał.

Home pokręcił z niedowierzaniem głową.

— W dzisiejszych czasach…?

Vinson wrócił już od swojego pulpitu.

— Ale to — wykrztusił — jest sprzeczne z każdym obowiązującym prawem! Federacja ma przecież krążowniki. Dlaczego nie patrolują Obrzeży i nie przerwą tego procederu? — Po chwili namysłu odwrócił się i zameldował Home'owi: — Pulpit sprawdzony, sir. Wszystko w porządku.

Denman odparł:

— Nie myślisz, chłopcze. Krążowniki do szerszej akcji patrolowej muszą mieć w pobliżu bazy na cywilizowanych planetach, które będą w stanie poradzić sobie ze wszystkimi problemami związanymi z ich zaopatrzeniem i konserwacją. Tutaj jest bardzo niewiele cywilizowanych planet, a żadna z nich nie zdecydowała się wstąpić do Federacji.

Vinson skinął głową.

— A więc nie ma baz, nie ma patroli. Rozumiem.

Denman popatrzył z goryczą na pomarańczowo-żółtą gwiazdę jaśniejącą w dalszych regionach Obrzeży i dodał:

— Skereth mogłoby być kluczem do całego regionu Obrzeży, gdybyśmy mieli go w Federacji. Ale tak nie jest. Wstrzymywali się z dołączeniem, spierali się, odmawiali. Więc zamiast przyzwoitych sił policyjnych, zdolnych do poradzenia sobie z taką sytuacją, musimy wysłać podrzędnego urzędnika do „zbadania sprawy". To o mnie chodzi.

Home zaczął rozumieć, dlaczego Denman był taki rozdrażniony.

— W drodze powrotnej zatrzymamy się na Skereth, by zabrać pasażerów. Słyszałem...

— Wiem — odparł cynicznie Denman. — Ja słyszałem to samo. Specjalni wysłannicy udają się na Vegę, aby rozmawiać o przystąpieniu Skereth do Federacji. Świetnie. Mam nadzieję, że im się to uda. Ale mnie to nic nie pomoże. Wszystkie wstępne rozmowy, cała ta biurokracja związana z ratyfikacją traktatów, czas potrzebny na zbudowanie bazy i jej uruchomienie… — Pokręcił głową. — Co najmniej przez następne dwa lata nadal będę podróżował autostopem frachtowcami z jednej planety Obrzeży na drugą, o ile w ogóle będę jeszcze żył.

— Myślisz o tych handlarzach niewolników — domyślił się Home.

— Myślisz, że nie zależy im na uniemożliwieniu mi powrotu do domu? No i oczywiście z humanoidami, to zawsze niepewna sprawa… podobnie jak z większością żywych istot, zwłaszcza jeśli zostały wystraszone lub zranione. — Denman westchnął i popatrzył na diamentowy ognik Allamara. — Żałuję — powiedział, — że nie jestem pijący.

Później, leżąc w ciemnej kajucie na swojej pryczy, wsłuchując się w głębokie, słabe dudnienie silników i czując, jak kadłub statku otacza go niczym przedłużenie jego własnego ciała, Home pomyślał, że Denman podchodzi do tej całej sprawy zbyt poważnie. Był oczywiście bardzo osamotnionym człowiekiem, rzuconym z dala od domu i rodziny, i, co równie oczywiste, nosił w sobie pewnego rodzaju urazę do swoich przełożonych, co było oczywiste po tej całej gadce o tym, że Denmana zawsze można poświęcić i że nieustannie dostaje brudną robotę. Home uważał, że koloryzuje on sytuację, wyolbrzymiając zarówno jej znaczenie, jak i istniejące niebezpieczeństwo, aby udramatyzować samego siebie.

Później jednak, kiedy zeszli po wiązce automatycznej radiolatarni na dół i wylądowali na prymitywnym lądowisku na Allamar Dwa, nie był już tego taki pewien.

Home lądował już kiedyś na Allamar, jakieś pięć lat temu. Pamiętał, jak to wtedy wyglądało – było to uroczyste święto z bębnami i piskami dziwacznych, obcych instrumentów, wymachiwaniem proporcami z piór i jasnych liści oraz całonocnymi sesjami uroczystego picia, po zakończeniu handlu.

Tym razem nie było ani muzyki, ani proporców. *Queen Vega* osiadła na kompletnie opustoszałym lądowisku. Kiedy dym i kurz opadły, a trap został opuszczony, Home, kapitan Wasek i trzeci oficer zeszli z Denmanem na ziemię, aby stanąć w jasnym słońcu. Wiał rześki, chłodny wiatr niosący ze sobą zapachy odległych pól śnieżnych i nie było nikogo, kto wyszedłby im na spotkanie.

Wtedy Home wskazał na skraj lasu, który otaczał lądowisko.

Mieszkańcy Allamar Dwa byli wysoką rasą, dorośli mężczyźni mierzyli średnio około dziewięciu stóp, byli potężnie zbudowani i od stóp do głów porośnięci sierścią w różnych odcieniach brązu. Mieli ogromne oczy, które odzwierciedlały ich łagodną i dosyć poważną naturę, oraz rysy twarzy, które nadawały im wyraz stałego łagodnego przygnębienia, rozjaśnianego uśmiechem tylko od czasu do czasu, nawet w czasie świąt.

Tym razem miejscowi zostali w cieniu drzew z bronią w ręku - prymitywnymi przedmiotami wykonanymi niezdarnie z drewna i kamienia, ponieważ byli pokojowo nastawionym ludem. Nie było wśród nich kobiet ani dzieci, a jedynie zdolni do walki mężczyźni. Stali, spoglądając na statek z wyrazem rozpaczliwej niekompetencji, który sprawiał, że Home'owi chciało się śmiać, mimo że nie było to nawet w najmniejszym stopniu zabawne.

Denman powiedział:

— Widzicie?

Zaczął iść w stronę drzew, trzymając wyciągnięte do przodu puste ręce. Wołał do tych ludzi, nie w lingua franca, lecz w ich własnym języku, którego Home nie rozumiał. Odpowiedzieli mu i zatrzymał się, a wkrótce grupa pięciu mężczyzn wyszła mu na spotkanie. Po ich ubiorze i ozdobach Home poznał, że byli to wodzowie. Rozmawiali z Denmanem, a po pewnym czasie cała szóstka odwróciła się i ruszyła z powrotem na statek. W pewnej chwili wodzowie zatrzymali się i nie chcieli iść dalej.

Denman pokonał całą drogę i wziął swoją torbę.

— Oni już nikomu nie ufają — powiedział do Waseka. — Pójdzie pan i z nimi porozmawia? To może ułatwić sprawę, kiedy następnym razem będzie chciał tu wylądować jakiś statek Federacji.

Wasek wrócił z Denmanem i porozmawiał z wodzami w języku lingua franca. Rozmowa nie trwała długo. Wasek uścisnął Denmanowi dłoń i wrócił na statek. Wyglądając na małego i opuszczonego pośród masywnych kudłatych kształtów, Denman ruszył w drugą stronę, w kierunku lasu.

Wasek pokręcił głową.

— Coś ich wszystkich mocno niepokoiło. Do tej pory nie wierzyłem w te wszystkie gadki o niewolnikach, ale teraz zaczynam w to wierzyć.

Home popatrzył za Denmanem.

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie. Z pewnością nie zazdroszczę mu pracy tutaj.

Martwił się o Denmana. Martwił się o Denmana tak bardzo, że poczuł się winny, na myśl o opuszczeniu go i przelocie na kolejny przystanek na Skereth, gdzie czekało na nich przyjemny wypoczynek przed podróżą powrotną.

Powiedział o tym Vinsonowi, a później przypomniał sobie, że kiedy to mówił młodemu oficerowi, nie czuł najmniejszego śladu żadnych złych przeczuć.

ROZDZIAŁ II

Na Skereth człowiek może zobaczyć słońce nawet tylko raz w życiu i podobnie rzadko oglądać jak wyglądają gwiazdy. Poza tymi krótkimi chwilami żyje pod kurtyną wiecznych chmur i musi przyjmować istnienie oraz wygląd wszechświata, na wiarę. Niektórzy twierdzili, że ta osobliwość natury wyjaśnia całą psychologię Skereth.

Lecz w portowym mieście Skambar ani blask gwiazd, ani światło pojedynczego niewidocznego księżyca, nie były potrzebne do rozjaśniania długich nocy. Blask neonów wykonywał to zadanie z oślepiającą oczy skutecznością. Skambar było nowym miastem, wyrosłym w chaotyczny sposób wokół wielkiego, nowoczesnego portu kosmicznego, który obsługiwał ożywiony handel międzygwiezdny Skereth, z planetami Obrzeży. Miejscami przy pięknych, prostych ulicach wznosiły się kwartały wysokich, nowoczesnych budynków, a potem nagle wpadało się w gąszcza plastikowych szałasów i pośpiesznie zbudowanych domków z pokojami do wynajęcia, barów i sklepów, kolejnych barów i podejrzanie wyglądających miejsc z zasłoniętymi oknami, jaskini hazardu i jeszcze większej liczby barów, a cała ta miejska dżungla zalewała okolicę czerwonym, niebieskim, zielonym i żółtym światłem. Te mniejsze uliczki były wąskie i skłaniały do skrytych wędrówek. W świetle dnia, pod bladobrązowym blaskiem nieba, wyglądały tanio, brudno i obskurnie. Nocą, choć może nie do końca przypominały one krainę baśni, stawały się wystarczająco atrakcyjne dla ludzi, którzy przez długi czas przebywali w kosmosie.

Vinson był zachwycony ich widokiem. Home zadał sobie trochę trudu, aby zabrać go w lepsze miejsca, które znalazł, kiedy był tu wcześniej. Były tam dziewczęta, dziewczęta całkiem ludzkie, ponieważ dominujący gatunek mieszkańców Skereth był bardzo podobny do ludzi, a dwie z nich na widok Home'a zawołały głośno: „Jim! Jim!" i ucieszyły się, co sprawiło, że pilot poczuł się mile połechtany i aż zachwiał się lekko pod pełnym podziwu spojrzeniem Vinsona. Dziewczyny cieszyły się, że kupowali dla nich drinki i dużo mówiły o Vinsonie, tak że w sumie wyglądało na to, iż będzie to bardzo udany wieczór.

— Pamiętaj — powiedział sucho do Vinsona — że tutejsze noce są długie jak trzy nasze, więc wyluzuj trochę. Te bladozielone drinki sprawią, że wkrótce padniesz na nos.

— Przecież to tylko jakieś bąbelki — zdziwił się Vinson.

— Bąbelki, pewnie. Tylko, że szybko ci pójdą do głowy.

Home rozłożył się wygodnie na tandetnych poduchach, które służyły tutaj do siedzenia, stwierdzając, że przyjemnie mu oprzeć głowę o coś miękkiego i ciepłego. Pomieszczenie było duże, z niskim sufitem i bez okien. Wnętrze wypełnione było łagodnym i przyćmionym światłem, a

ciepłe powietrze tętniło szmerem głosów i śmiechów. Home'owi przebiegła przez głowę myśl o Denmanie na Allamarze Drugim, siedzącym w jakiejś ponurej wiosce, ze swoimi podopiecznymi cisnącymi się wokół niego jak stado nieszczęśliwych bernardynów. Pokręcił głową i po raz kolejny poczuł lekkie poczucie winy.

Jedzenie, rozłożone na malutkich stolikach porozstawianych pośród poduch, było bardzo dobre, a dziewczęta przyjazne. Wkrótce oświetlenie przygasło jeszcze bardziej, z wyjątkiem jednego bladego snopa światła pośrodku sali, w którym pojawiła się dziewczyna niosąca dziwny kosz upleciony z czegoś podobnego do sitowia. Nie była to ludzka dziewczyna. Jej uroda początkowo wydawała się lekko szokująca i Home usłyszał, jak Vinson gwałtownie łapie oddech. Dziewczyna pochyliła srebrzystą głowę nad koszem, otworzyła go i zaczęła tańczyć.

Złote kule światła, nie większe niż kółka jakie można utworzyć między kciukiem i palcem wskazującym, uniosły się z kosza i dołączyły do jej tańca.

Ciało miała smukłe, lśniące i zwinne jak mgła. Dryfowało i kołysało się w pojedynczym snopie światła, a złote kule wirowały wokół niej, czyniąc z tańca coś w rodzaju gry, okręcając się szybko jak mydlane bańki wzdłuż smukłych krzywizn jej ciała, unikając jej rąk, kiedy łapała je ze śmiechem, ubierając ją w welony miękkiego blasku, a następnie wylatując na podobieństwo ogona komety, by podążać za ruchami jej głowy. W końcu uniosła ręce i zebrała w nie wszystkie błyszczące kule, po czym pozwoliła im spaść w błyszczącej kaskadzie do uplecionego z sitowia kosza, zamknęła jego pokrywę i wszystkie światła zgasły. Kiedy zapaliły się ponownie, dziewczyna i jej koszyk już zniknęły.

Wśród aplauzu widowni Home nagle dostrzegł, że jakichś dwóch młodych mężczyzn podeszło i stanęło w pobliżu niego i Vinsona, spoglądając na nich z góry.

Byli to rdzenni mieszkańcy Skereth, o jasnych włosach i czystych rysach charakterystycznych dla swej rasy. Byli nieco starsi niż dzieci... studenci, jak ocenił ich Home, którzy wybrali się na wieczór pełen blasku i wrażeń, pośród nocnego życia Skambaru. Z wielkim zainteresowaniem wpatrywali się w opaski na ramionach jego i Vinson, na których widniały splecione słońca.

— Zapuściliście się poza teren Federacji, co? — spytał jeden z nich, a Home skinął głową.

Obaj się uśmiechnęli, zaś drugi z nich powiedział:

— Możemy postawić wam drinka?

Home oznajmił, że to zaproszenie, którego nie można odrzucić. Po czym on, Vinson i dziewczyny przesiedli się na poduszkach tak, że znalazło się miejsce, aby nowoprzybyli mogli usiąść.

Chcieli porozmawiać o kosmosie i pracujących w nim ludziach. Byli zachwyceni, ale chcieli też wiedzieć, ile się płaci oraz jakie warunki panują na statkach Federacji. Po chwili Vinson odparł:

— Ale wy tutaj, nie jesteście w Federacji.

— Będziemy w niej — powiedział jeden z chłopaków. — I to już niedługo. Morivenn leci na Vegę waszym statkiem. Myśleliśmy, że o tym wiecie.

— Jeśli chodzi o sprawy poza naszą działką — stwierdził Home - czyli nawigacją, to nic specjalnego nie wiemy.

— Pamiętam, że słyszałem jakieś rozmowy o wysłanniku lub wysłannikach — powiedział Vinson — ale myśleliśmy, że to tylko plotki. Kim jest Morivenn?

— Przywódcą partii pro-federacyjnej na Skereth — odparł jeden z chłopaków. Miał na imię Mica, a jego oczy były ciemnoniebieskie, tak ciemne, że prawie czarne. — Wprowadzi nas do niej, z pewnością, tak czy inaczej. Nie mogą nas wiecznie trzymać z dala od wielkiego wszechświata poza Obrzeżami.

— A kto was trzyma z dala? — spytał Home.

— Partia antyfederacyjna — wyjaśnił drugi z chłopaków i uśmiechnął się. Nazywał się Durin lub jakoś podobnie i nie było w nim niczego nadzwyczajnego. — Tak długo wszystko było po ich myśli, że nie są w stanie znieść samej idei konkurencji. Ale to musi się stać.

— A kiedy się stanie — powiedział Mica — chcielibyśmy zamustrować się na statek Federacji. Widzicie, nasze statki handlowe robią te same głupie kółka wokół placówek tutaj, na Obrzeżach, a my chcemy polecieć na Vegę, Altaira, do Światów Gromad i wszystkich innych miejsc, które warto zobaczyć.

— Jakie są dziewczyny na Vedze? — spytał Durin.

— A jakie chcesz? — Vinson odparł z wielkopańskim gestem. — Powiedz tylko jakie, a my to mamy. — Urodził się w Vedze i był z tego dumny.

— Musimy tylko wprowadzić Skereth do Federacji — stwierdził Durin i zamknął oczy, wzdychając w oczekiwaniu na miriady wegańskich dziewcząt.

Bladozielony napój, który pili, zaczynał sprawiać, że Home'owi zaszumiało w głowie. Ciepłe, wonne powietrze wydawało się mu robić nieco duszne. Przeciągnął się i wstał.

— Dzięki za drinki — powiedział — i powodzenia. Kto wie, może kiedyś będziecie służyli z którymś z nas na jednym statku. — Odwrócił się do Vinsona. — Wychodzę się przewietrzyć. Przypominam ci tylko raz jeszcze, że noce są tu długie, i od tej pory zostawiam cię już samemu sobie.

— Jestem absolutnie szczęśliwy tutaj — odparł Vinson. — Teraz mam obie dziewczyny dla siebie.

Obaj chłopcy poderwali się.

— Pójdziemy z tobą. Jest pewne miejsce w Dzielnicy Nocnych Ptaków. Byłeś tam kiedyś?

Home odpowiedział, że nie.

— No cóż — stwierdził Durin — nikt nie może powiedzieć, że był na Skereth, jeśli tam nie był. Po drodze można zaczerpnąć świeżego powietrza — dodał.

— Co to jest Dzielnica Nocnych Ptaków? — dopytywał się Vinson.

— To tam, gdzie mieszkają Nocne Ptaki.

— Dosyć logiczne. A co to są te Nocne Ptaki?

— Nocne Ptaki są dokładnie tym, na co wyglądają. Ptakopodobna rasa z dalekiej północy, gdzie noce ciągną się w nieskończoność, i nie zależy im zbytnio na świetle dziennym. Jest ich wielu na nocnych zmianach w porcie kosmicznym, a miejsca przyjemności w ich dzielnicy są naprawdę fenomenalne.

— Chętnie to zobaczę — powiedział Home. — Chodźmy.

Vinson zawahał się, rozdarty między obecnymi przyjemnościami a myślą o pozostaniu samemu, podczas gdy gdzieś indziej odbywa się świetna impreza. Po chwili pocałował dziewczyny na pożegnanie i dogonił w drzwiach Home'a i dwóch chłopców.

Nocne powietrze pachniało przyjemnie, świeżo i chłodno. Jaskrawe ulice były radośnie hałaśliwe, pełne ludzi, ale nie zatłoczone. Chłopcy byli rozmowni, pokazując im to czy tamto lub komentując miejscowe życie oraz zwyczaje. Szumek w głowie Home'a ucichł i został zastąpiony przez dobre samopoczucie.

— To zielone coś — powiedział do Vinsona — to najwspanialszy drink w galaktyce, jeśli się z nim dobrze obchodzić.

Vinson uśmiechnął się. Wędrowali wąską uliczką do dzielnicy Nocnych Ptaków. Światła były tu łagodniejsze, bardziej stonowane i zabarwione na niebiesko, tak że tandetny charakter budynków skrywał blask księżyca. Przez drzwi i zasłonięte żaluzjami okna, przesączały się dźwięki bardzo dziwnej muzyki.

— To tylko kawałek drogi przed nami — powiedział Mica.

Grupa jakichś stworzeń przemieszczała się po oświetlonej na niebiesko ulicy, stawiając lekkie kroki i szeleszcząc białym upierzeniem. Oczy Vinsona podążały za nimi, ogromne ze zdumienia, a Home pomyślał: „Wiem, co on czuje. Nawet ja wciąż czuję uniesienie serca i radość, że urodziłem się teraz, kiedy ludzie nie są przykuci do jednej małej planety, lecz mogą wędrować od gwiazdy do gwiazdy.”

— To już tam — powiedział Mica, wskazując na budynek przed nimi.

Przed budynkiem stała grupa ludzi, czterech lub pięciu, rozmawiających ze sobą, jakby dopiero co skądś wyszli i zastanawiali się, dokąd pójść teraz. Home przeszedł koło nich, a Vinson i chłopcy szli za nim.

Nagle zorientował się, że zablokowano mu drogę, a jeden z ludzi wyciągnął rękę i dotknął jego naramiennika.

— Federacja.

To było stwierdzenie, a nie pytanie. Home poczuł, jak gorący dreszcz przeszywa mu kręgosłup i brzuch.

— Tak — odparł i poczuł, jak wszystkie jego mięśnie napinają się, wbrew nagłemu elektrycznemu wrażeniu wiszących w powietrzu kłopotów.

Uśmiechnął się i ponownie spróbował przejść obok tych ludzi.

— Federacja — powtórzył człowiek głośniejszym tonem, a inne głosy podchwyciły to słowo i poniosły je w głąb budynku.

— Posłuchajcie — powiedział nerwowo Mica zza pleców Home'a. — Nie chcemy żadnych kłopotów…

Z budynku wyszło więcej ludzi. Home zaczął już się wycofywać, jego ramię ocierało się o ramię Vinsona i czuł upór młodszego kolegi.

— Posłuchajcie… — powiedział ponownie Mica, głos mu się lekko załamywał.

Jeden ze stojących ludzi wyciągnął rękę i mocno go spoliczkował.

— Gdybyś był trochę starszy, skręciłbym ci kark za zdradę. — Spoliczkował go ponownie. — Uciekaj stąd!

Home usłyszał oddalające się kroki Miki. Durin mamrotał jeszcze coś o antyfederacjonistach i głupich animozjach, lecz po chwili Home nie słyszał już jego głosu, tylko kolejne kroki szybko oddalające się z tego miejsca. On i Vinson nie byli w stanie już uciec, choć chętnie by to zrobili. Zebrani ludzie przyparli ich do ściany. Home był zaskoczony i wstrząśnięty. Ostatnim razem, kiedy tu był, na Skereth istniały silne nastroje przeciwko i za Federacją, ale nie działo się nic podobnego.

Przemówił stanowczo, mimo wszystko wciąż mając nadzieję:

— Czy zechcielibyście państwo nas przepuścić?

— Kiedy skończymy rozmawiać — oznajmił mężczyzna, który odezwał się jako pierwszy. Delikatnie popchnął Home'a na ścianę. — Jeśli nie chcecie kłopotów, to trzymajcie się z dala od planet innych ludzi i nie wtrącajcie się w ich sprawy.

Vinson powiedział:

— Rozumiem, że jesteście niezadowoleni z tego, że wasza delegacja udaje się na Vegę. — Odpowiedź była oczywista i nikt nie zadał sobie nawet trudu, aby jej udzielić. Vinson kontynuował: — Więc dlaczego nie porozmawiacie z nimi?

— Ponieważ — odparł przywódca, — ich tutaj nie ma, a wy jesteście.

Vinson na to oświadczył:

— No cóż, w takim razie... — i uderzył go.

ROZDZIAŁ III

Podjęli całkiem niezłą próbę wywalczenia sobie drogi przez otaczający ich kordon. Home później wyraźnie pamiętał, że przebili się aż na środek ulicy i że osobiście złamał szczękę jednemu z napastników. Przypominał sobie również, że Vinson niespodziewanie miał mocny lewy. A potem coś walnęło go od tyłu, deska, butelka lub kamień, a kiedy doszedł do siebie, byli na ulicy już sami, zaś Vinson próbował pomóc mu pozbierać się na nogi.

Nie. To nie był Vinson. Ktoś inny.

W niebieskim świetle zobaczył nachylającą się tuż nad nim twarz, twarz mieszkańca Skereth, o wyraźnych rysach, inteligentną i kompletnie mu nieznaną, z ciemnymi, zatroskanymi oczami.

— Wszystko w porządku?

Home czepiając się palcami, wspiął się po ramieniu młodego mężczyzny, rozglądając się za Vinsonem.

— Vinson — powiedział. Wstał, trzymając się nieznajomego. Krzyknął: — Vinson!

— Nikogo tu nie ma, nikogo oprócz pana.

— Vinson! — Home krzyknął ponownie i ruszył lekko się zataczając.

Młody mężczyzna przytrzymał go.

— Ćśśś! Proszę posłuchać.

Home zaczął nasłuchiwać, głowa mu się rozjaśniała, choć ciało wciąż było zimne i jakby zdrewniałe, czuł coraz większe mdłości z bólu, który zdawał się skupiać tuż za lewym uchem. Po chwili usłyszał dźwięki, ciche, okrutne odgłosy ludzi katujących bezbronną ofiarę, pomruki wysiłku i gardłowe, podekscytowane oddechy. Dochodziły skądś… Skąd?

— Tam — oznajmił młody mężczyzna, wskazując na wąską uliczkę, tak ocienioną przez budynki, że Home wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Młody człowiek zaczął biec, a Home pobiegł za nim, sztywno, potykając się o krawężniki.

Po drodze, młody człowiek świsnął ostrym, przenikliwym, długim tonem.

Ludzie, którzy znajdowali się w tym zaułku, zajęci w ciemnościach intensywnym działaniem, usłyszeli gwizd i zamarli, zaskoczeni w różnych postawach, nad jasną postacią, która leżała cicho jęcząc pod ich stopami.

Home poczuł ogromny gniew, który sprawił, że zapomniał o bólu w głowie, i wypalił z jego ciała resztki odrętwienia. Wzrok pilota nabrał dziwnej ostrości. Zobaczył że młody mężczyzna biegnie tuż przed nim i po raz pierwszy zauważył, iż ma on na sobie ubiór marynarza kosmicznego. Zobaczył, że ludzie stojący nad Vinsonem otrząsnęli się ze zdumienia i ponownie zaczęli się poruszać. Zobaczył, jak obcy wpada z impetem

między nich, rozrzucając ich na boki, a potem również i on rzucił się na nich, jego pięści zaczęły uderzać mocno o ciała napastników, zaciśnięte w pięści w prymitywnej żądzy zniszczenia. W tym samym czasie, za sobą na ulicy, usłyszał kolejne głosy i tętent biegnących kroków.

Młody nieznajomy walczył obok niego, ramię w ramię, stojąc nad jęczącym Vinsonem.

We dwu nie wytrzymaliby długo, nie dłużej niż on i Vinson wytrzymali wcześniej, w obliczu ogromnej przewagi liczebnej, z jaką przyszło im się zmierzyć. Ale gwizd sprowadził innych ludzi, mężczyzn w butach i czapkach marynarzy kosmicznych. Zaczęli krzyczeć, zaś młodzieniec im odpowiedział: „Tutaj!". Wpadli do zaułka pełni krwiożerczego entuzjazmu i po kilku minutach nie było tam już nikogo poza Homem, Vinsonem, młodym nieznajomym i przybyszami w marynarskich czapkach. Pozostali uciekli.

Młody mężczyzna kazał komuś wezwać karetkę. Następnie uklęknął obok Home'a, który trzymał głowę Vinsona na kolanach.

Vinson wymamrotał:

— Zdaje się, że popełniłem błąd. Nie powinienem był go uderzyć.

— To nie miało znaczenia — odparł Home. — Jak bardzo źle się czujesz?

— Naprawdę nie wiem — oznajmił Vinson i zemdlał. Home popatrzył na młodego mężczyznę.

— Dzięki — powiedział.

— Przepraszam, że nie pojawiłem się wcześniej. Nazywam się Ardric.

— Jim Home.

Uścisnęli sobie dłonie nad ciężko oddychającym Vinsonem.

— Przepraszam — powiedział Ardric. — `Wstydzę się za mój lud, za Skereth. Pojawiło się wiele emocji związanych z przyłączeniem się do Federacji. Niektóre z nich są silne aż do granic fanatyzmu.

— To już załapałem.

— Ci ludzie uważają, że oznaczałoby to rezygnację z suwerenności i niezależności, konieczność przyjmowania rozkazów od jakichś obcych, którzy żyją całe lata świetlne stąd. Boją się o swoją pracę, boją się zmian. Ale coś takiego... To sprawia, że czuję mdłości i wstyd.

— A gdzie były te Nocne Ptaki, kiedy to wszystko się działo? — spytał Home, przypominając sobie kompletną pustkę na ulicy.

— Oni tu tylko pracują — rozłożył ręce Ardric, — jedzą i śpią. Poza tym się nie angażują.

— Mogliby przynajmniej wezwać policję — mruknął Home.

— Nie oni — powiedział Ardric. — Chyba, że to ktoś z nich miałby kłopoty. Wtedy potrafią zaangażować się niesamowicie szybko.

Karetka przyjechała. Home podziękował pozostałym marynarzom, podczas gdy Vinsona ładowano do środka.

— Mogę jechać z tobą? — spytał Ardric. — Chciałbym wiedzieć, jak on się czuje.

Razem z Vinsonem pojechali do szpitala.

Home zadzwonił do Kapitanatu Portu i poprosił o wysłanie wiadomości do kapitana Waseka, a następnie opatrzono również jego własne rany i siniaki. Potem usiadł z Ardriciem, zadowolony z towarzystwa.

Pojawił się Wasek, zły i zdenerwowany. Home opowiedział mu co się stało i Wasek uścisnął dłoń Ardrica.

— Naprawdę dziękuję panu — powiedział. Popatrzył na kołnierzyk tuniki Ardrica. — Obawiam się, że nie znam wszystkich insygniów. Wiem, że jest pan marynarzem floty handlowej Skereth, ale…

— Jestem asystentem pilota — wyjaśnił Ardric. — Kimś, kogo można by określić jako drugi pilot.

— No cóż — powiedział Wasek. — Doskonale! To się świetnie składa. Vinson też jest drugim pilotem. Jaki statek?

— Żaden — odparł Ardric — w tej chwili.

— Bez koi do spania, co? W takim razie niech pan zostanie w pobliżu… bo może się okazać, że nie mamy drugiego.

I tak się stało.

— Złamana lewa kość piszczelowa i umiarkowany wstrząs mózgu, z licznymi stłuczeniami i otarciami — oznajmił lekarz — i całe szczęście, że tylko na tym się to skończyło. Ale przez jakiś czas nie będzie w stanie pilotować żadnych statków.

Home'owi było przykro. Polubił młodego Vinsona. I tak było lepiej, niż mogło być. Gdyby nie pojawił się Ardric, Vinson i być może on sam, mogliby zginąć.

Wasek spoglądał na Ardrica.

— Nie możemy wystartować bez Drugiego. Co pan na to? Ma pan odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko i chciałby pan może dostać koję?

— Czy chciałbym? — powiedział Ardric i zaczął wyciągać papiery z kieszeni swojej tuniki. — Oto mój patent, karta lotów i książeczka zdrowia.

Miał odpowiednie kwalifikacje. Kiedy *Vega Queen* wystartowała, Ardric siedział w fotelu Vinsona, a Home cieszył się, że mogli w ten sposób odwdzięczyć się Ardricowi za jego tak znaczące zasługi. Nawet Vinson był z tego zadowolony, choć żałował, że musiał zostać na planecie.

Kiedy po starcie nadszedł czas na wyznaczenie kursu, Home oznajmił po prostu:

— Arktur — i pozwolił Ardricowi wyperforować taśmy oraz wprowadzić je do komputerów. Pozwolił Ardricowi ustawić wyniki na pulpicie pilota. Dopiero wtedy sprawdził współrzędne i uznał je za prawidłowe. Kiwnął głową, a Ardric wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Pierwszy płotek — powiedział i rozparł się wygodnie w fotelu, jak ktoś odpoczywający po długim biegu. Home zauważył, że jego oczy były bardzo ciemnoniebieskie, podobnie jak oczy jednego z chłopaków, Miki, i przeszło mu przez myśl, że jest coś niepokojącego w tym, że niebieskie oczy mogą być równie nieprzejrzyste jak czarne. Obaj wpatrywali się jednak z niecierpliwością w okna widokowe, na gwiazdy, aż w końcu Ardric stwierdził: — Nigdy nie sądziłem, że dotrę aż na Vegę, chyba po wstąpieniu Skereth do Federacji, ale myślałem, że wtedy będę już starcem.

— Tych dwóch chłopaków… — Home opowiadał już wcześniej Ardricowi o Mice i Durinie oraz o tym, w jaki sposób on i Vinson trafili do dzielnicy Nocnych Ptaków. — Tych dwóch chłopaków wydawało się być pewnych, że Morivennowi uda się to przeprowadzić, pomimo opozycji.

— Jeśli ktokolwiek jest w stanie to zrobić — odparł Ardric — to tylko on.

Home chciałby spotkać, a przynajmniej zobaczyć Morivenna, którego podróż na Vegę przysporzyła mu tylu kłopotów. Lecz Morivenn i trzej pozostali członkowie jego delegacji, trzymali się swoich kajut nawet podczas posiłków.

— Na Skereth weszli na pokład też inni pasażerowie — zauważył Ardric. — Mądrze jest zachować ostrożność. Jeden fanatyk z bronią mógłby bardzo szybko zakończyć tę całą sprawę.

Home'owi wydawało się, że ciemnoniebieskie oczy Ardrica są zawsze zwrócone ku gwiazdom i przez długi czas myślał, że młody pilot patrzy na kosmos tak samo, jak patrzył na niego Vinson, z chłopięcą ekscytacją. Potem jednak nabrał wrażenia, że w postawie Ardrica kryło się coś jeszcze, coś bardziej wyrachowanego niż ekscytacja, i może to wcale nie gwiazdy go ekscytowały, tylko coś zupełnie innego.

To jednak było głupie. W końcu, pomyślał Home, Vinson pochodził z Ziemi, nawet jeśli urodził się na Vedze, tak więc on i ja mamy wspólny mianownik uczuć. Ardric pochodzi z innej planety, ma inne pochodzenie i inną kulturę. Skąd mam wiedzieć, jak wygląda człowiek ze Skereth, kiedy wyraża podekscytowanie lub jakiekolwiek inne emocje? A jeśli nawet czasami jego usta wydają się tracić przyjazny uśmiech i robią się cienkie i nieco zbyt surowe, może to po prostu dlatego, że ludzie z jego rasy zwykle mają cienkie usta, które sprawiają wrażenie surowości.

W każdym razie był kompetentny. Bardzo kompetentny. I z wyjątkiem sporadycznych okresów wycofania, kiedy Home'owi wydawało się, że jego umysł zatapiał się całkowicie w jakichś poważnych myślach, był dobrym towarzyszem podczas wspólnych wacht.

I wtedy Ardric sam z własnej woli wyjawił pewną informację, która wyjaśniła wszystko Home'owi.

— Mój ojciec — wyznał nagle pewnego dnia, kiedy zobaczył, że Home przygląda się mu z zaciekawieniem — jest bardzo rozgoryczony naszym wstąpieniem do Federacji. Czasami zastanawiam się, jak on musi się czuć, wiedząc, że ja jestem na tym statku, pomagając przetransportować Morivenna w drodze na Vegę.

Statek pędził swoją trasą pomiędzy osamotnionymi wyspami słońc, kierując się na Arktura, gdzie miano wyładować ładunek i paru ludzi ze służby konsularnej Federacji, zabrać jeszcze więcej ładunku i powracający personel konsularny. Potem mieli wyruszyć w długi lot powrotny do serca galaktyki, na Wegę. Wyszli z napędu FTL w normalną przestrzeń. Arktur płonął coraz jaśniej na ekranach, aż w końcu wszystkie inne gwiazdy zostały przesłonięte przez jego blask, a całe niebo wypełniał już tylko ogień jednej gwiazdy.

— Byłem tu już wcześniej — powiedział Ardric. — Mógłbym sprowadzić statek na dół.

— Jestem pewien, że mógłbyś — zgodził się Home — ale regulamin wymaga, abym ja to zrobił.

Ardric uśmiechnął się.

— W porządku, tylko nie zapomnij o tym roju meteorów. Gadałem kiedyś z gościem, który o nim zapomniał i było już… — pokazał gestem, przysuwając jedną dłoń do drugiej, i niemalże je stykając. — Było tak blisko.

Rój meteorów był periodyczny i w dokładnie oznaczony na mapach. Home tak wykreślił wzorzec hamowania statku, aby w pełni go uwzględnić, dwukrotnie sprawdził współrzędne w komputerach i ustawił odpowiednią kombinację na pulpicie pilota.

Queen Vega, dostojna jak wielki matowy karp w oceanie diamentów, okręciła się dziobem do tyłu i zaczęła hamować. Podchodzenie po spirali w stronę powierzchni planety, aby zredukować prędkość to takiej, która pozwoli statkowi wylądować bez ogarnięcia jego i otaczającego go powietrza kulą płomieni, miało zająć trzy i pół dnia, zgodnie z czasem Vega Arbitrary Time.

Minął pierwszy dzień.

Minął drugi dzień i nadeszła pora kolacji. Home i Ardric trzymali wachty na zmianę, cztery godziny na stanowisku i cztery godziny odpoczynku, i jedli razem w kabinie pilotów pod koniec trzeciej i na początku czwartej tury. Przyszła właśnie kolej na odpoczynek dla Home'a.

Steward przyniósł kolację i jedli ją w kabinie. Rozmawiali o cudach ogromnej galaktyki, a w regularnych odstępach czasu Home, który kończył swoją turę, wstawał, aby sprawdzić pulpit nawigacyjny i najważniejsze wskaźniki, które monitorowały dryf planetarny, cząsteczki gruzu kosmicznego przemieszczane losowo przez pola grawitacyjne i niemożliwe do nakreślenia. Automatyczne kompensatory działały bez zarzutu.

Steward przyszedł ponownie i przyniósł kawę oraz mały kieliszeczek brandy dla Home'a. Kiedy nadejdzie kolej na odpoczynek dla Ardrica, miał on otrzymać równie niewielką ilość zielonego trunku ze Skereth.

Home wstał i ponownie sprawdził pulpit. Dopił kawę i brandy, formalnie przekazał kabinę pilotów Ardricowi, perforując odpowiedni kod na taśmie dziennika statku, po czym udał się do swojej kabiny, która znajdowała się zaledwie kilkanaście kroków dalej i była połączona z kabiną pilotów bezpośrednim alarmem głośnikowym. Zamknął drzwi i zaczął się rozbierać. Pomyślał, że powinni minąć rój meteorytów mniej więcej w połowie jego następnej tury, kiedy ciemność ogarnęła go tak szybkimi falami słabości, że ledwie dotarł do swojej koi, zanim padł na nią i usnął.

Następną rzeczą, która do niego dotarła, była kakofonia hałasów, syren alarmowych, dzwonków, ludzkich głosów, krzyków i wrzasków, a ktoś nim potrząsał. Ktoś zaczął go policzkować, brutalnie starając się go obudzić. Nawet przez budzącą zawroty głowy mgłę, która otulała jego mózg i zaciemniała emocje, poczuł zimną i zaciekłą nienawiść kryjącą się za tymi uderzeniami i powtarzaniem w kółko jego imienia.

Zobaczył twarz Waseka.

Wymamrotał jakieś pytanie, desperacko próbując się obudzić. Usłyszał, jak Wasek mówi coś o roju meteorów i powiedział:

— Ale przecież jeszcze nie teraz - następna tura, moja wachta...

Wasek postawił go do pionu.

— To twoja wachta, ty pijany morderco. Idź tam i zrób coś, jeśli zdołasz. — Powiedział coś jeszcze o Ardricu, ale Home tego już nie odebrał. Jedyne, co teraz słyszał, to odgłosy statku, krzyki ludzi, tupot butów po metalowej podłodze i brzęk włazów do łodzi ratunkowych. Zaczął iść po dwunastu stopniach do kabiny pilotów, kolana się pod nim uginały, a brzuch ciążył jak ołów, i wtedy coś znów uderzyło w statek…

Znów? Czy zostali uderzeni już przedtem? Nie mógł sobie przypomnieć, ale jego ciało zdawało się samo przypominać sobie wstrząsający jęk i zgrzyt rozdzieranego metalu. Światła zgasły, a korytarz przechylił się w górę, po czym wykręcił się pod szalonym kątem i Home znów pogrążył się w ciemności.

ROZDZIAŁ IV

Usłyszał głosy na długo zanim otworzył oczy. Trzymał zamknięte powieki i starał się nie słuchać, mając nadzieję, że ciemność znów go pochłonie i zatrzyma, tym razem już na zawsze. Lecz tak się niestety nie stało. Od tych głosów nie było ucieczki.

Jeden z głosów należał do płaczącego dziecka. Drugi do szlochającej kobiety. Reszta, byli to mężczyźni, mówiący przytłumionymi i poszarpanymi głosami wskazującymi na wstrząs, rozpoczynając zdania i nigdy ich nie kończąc, lub powtarzając w kółko te same słowa lub frazy.

— Szedłem na dziób, żeby wyjąć to wiadro z magazynka i wtedy właśnie…

— Jak kawałek podartego papieru, ta gródź, mój Boże, widziałem, jak oni wypadają…

— Nic z niego nie zostało, nic nie zostało, nawet coś, co mogłabym pogrzebać…

Kobieta między spazmami szlochu powtarzała w kółko jakieś imię.

Home musiał w końcu otworzyć oczy.

W łodzi ratunkowej znajdowało się osiemnaście osób. Kobieta, dziecko i szesnastu mężczyzn.

Jednym z nich był Wasek, z paskudną raną na lewym policzku i tuniką poplamioną krwią. Wpatrywał się w Home'a. Pozostałych piętnastu mężczyzn wpatrywało się w Home'a. Kobieta też, ale nie sądził, aby go widziała, zaś dziecko płakało.

Home spytał głosem, którego nie rozpoznawał jako swojego:

— Co się stało?

Wśród piętnastu mężczyzn wybuchła burza głosów i poruszenie. Wasek odwrócił się do nich.

— Nie po to uratowałem mu życie. Jeszcze z nim nie skończyłem. Nie skończę z nim przez długi czas.

Mężczyźni uspokoili się. Byli za bardzo wyczerpani emocjami, by zbyt długo utrzymać w głowie jakiekolwiek uczucie, nawet uczucie nienawiści. Wasek chrząknął i wskazał na port widokowy.

— To właśnie się stało.

Home już zobaczył to już chwilę wcześniej. Łódź ratunkowa stale się oddalała, jej małe dysze pluły ogniem, lecz ciągle znajdowała się w zasięgu wzroku od rozbitego na drobne fragmenty wraku. Niektóre części *Vega Queen* wciąż można było rozpoznać jako niegdyś należące do statku kosmicznego. Po większości jednak nie dawało się rozpoznać, że kiedykolwiek były one częścią czegokolwiek.

— Ile łodzi ratunkowych odleciało?

— Ta jest jedyna. Ci tutaj to już wszyscy. Osiemnaścioro ocalałych. Osiemnaścioro, Home. Sam się przekonaj, ile istnień ludzkich zabrałeś.

Home pokręcił głową. Język w ustach czuł jakby był to patyk z drewna.

— Zabrałem? — spytał. — Nie. Na litość boską, kapitanie, powiedz mi, co się stało!

Ludzie spoglądali na niego zimnymi, pełnymi nienawiści spojrzeniami. Zimnej nienawiści. Tak. Pamiętał, jak Wasek potrząsał nim, spoliczkował go i wykrzykiwał: „Ty pijany, morderczy draniu!”

Home zaczął się trząść.

— Wypiłem jeden kieliszek brandy. Jak można upić się jedną szklaneczką brandy? — Nie odpowiedzieli mu. Twarz Waseka wyglądała jak wykuta z kamienia. Home popatrzył jeszcze raz na wrak i po raz trzeci zapytał zrozpaczony: — Co się stało?

— Rój meteorów — oznajmił Wasek. — Wpadliśmy prosto w niego.

Home wpatrywał się w niego.

— To niemożliwe. Przy naszym kursie, mieliśmy minąć ten rój w odległości piętnastu tysięcy mil.

— Sam wytyczyłeś ten kurs, Home. Nie uwzględniał roju…

— Jak możesz tak mówić? Skąd to wiesz? To ja wytyczyłem kurs.

Wasek twardo mówił dalej.

— Gdyby Ardric był doświadczonym pilotem, być może zauważyłby to na czas, ale nie był, a ty byłeś pijany. Stał za ciebie na wachcie i próbował cię kryć, ale nie zorientował się w porę.

— Ale kurs był ustawiony! Piętnaście tysięcy mil. Nie powinniśmy się nawet zbliżyć do krawędzi tego roju!

— Ale zbliżyliśmy się — stwierdził Wasek. — I ocalało osiemnaście osób.

Popatrzył na Home'a, i pozostali również się w niego wpatrywali, wszyscy z wyjątkiem kobiety, która siedziała ze schyloną głową i w kółko powtarzała „Bob”.

Home próbował stłumić drżenie, które stopniowo przechodziło w niekontrolowane. Skoncentrował się na tym, aby je powstrzymać, a gdy mu się to udało, przypomniał sobie, jak wytyczał ten kurs. Kiedy miał przed sobą rozłożone mapy, wziął pod uwagę wszelkie dane, okresowość roju, czas względny, czas fazy planetarnej, czas fazy słonecznej i tabele okresowe. Pełen zestaw danych, dla każdego możliwego podejścia.

Nie mógł się pomylić.

A może jednak mógł?

Czy mógł być pewien, że nie popełnił błędu w obliczeniach, podczas perforacji taśm, podczas odczytywania wyników?

— Nie widzę takiej możliwości — powiedział na głos, do siebie, do nikogo. — Sprawdziłem je dwukrotnie. Współrzędne. Dokładnie, dwukrotnie. A tuż przed odlotem sprawdziłem je jeszcze raz. Byliśmy na właściwym kursie, wszystko było tak, jak powinno.

— Tak dobrze — powiedział Wasek, — że pomyślałeś, że możesz pozostawić Ardricowi sprowadzenie statku na powierzchnię.

— Kapitanie — tłumaczył Home. — Wypiłem jeden kieliszek brandy, tak jak zawsze. Ardric może to potwierdzić… — przerwał. W łodzi

ratunkowej oprócz Waseka było tylko piętnastu ludzi. Nie trzeba było długo się rozglądać, aby zobaczyć, że wśród nich nie ma twarzy Ardrica. — Nie. Chyba jednak nie może. Ale to prawda…

Wasek powiedział:

— To nie szklaneczka brandy mnie martwi. Chodzi o te dwie puste butelki, które stały w twojej kabinie.

Home wpatrywał się w niego pustym wzrokiem.

— Co?

— Przewróciłem je, kiedy wszedłem do środka. Byłeś pijany, Home, pijany i chrapałeś jak cholerna świnia, a Ardric zginął na swoim posterunku, próbując uratować coś pomimo błędu, który popełniłeś przy wyznaczaniu kursu. — Wasek pochylił się nieco bliżej. — Mój statek, Home. Dziewięćdziesięciu siedmiu członków załogi i trzydziestu ośmiu pasażerów, w tym kobiety i dzieci. Ukrzyżuję cię, Home. Powieszę cię i rozrzucę twoje wnętrzności po podłodze.

Home mu nie odpowiedział. Wydawało się, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Czuł się kompletnie oszołomiony, pozbawiony życia, zdrowia i możliwości reakcji.

I siedział tak, oszołomiony i milczący, przez cały czas, kiedy łódź ratunkowa kuśtykała w swojej powolnej i przeciążonej drodze do lądowania na Arkturze III. Czasami, pod warstwą szoku, przerażenia i zwątpienia w siebie, która go przytłaczała przebijało się pytanie - czy popełniłem błąd przy wyznaczaniu kursu? Wiem, że się nie upiłem, ale czy możliwe jest, że popełniłem błąd przy wyznaczaniu kursu? Pod tą pokrywą od czasu do czasu zdawał sobie sprawę, że jego umysł pracuje, grzebiąc w ciemnych zakamarkach pamięci, zbierając skrawki wspomnień i spekulacji. Zostawił to w spokoju, czując zbyt wielki ciężar na sercu, aby się tym obecnie przejmować.

Dopiero kiedy powierzchnia Arktura III znalazła się tuż pod nimi, porośnięta sierścią lasów i poznaczona garbami gór, jak grzbiet jakiejś potwornej bestii, jego umysł nagle przemówił do niego wyraźnie i oświadczył: „Dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi z załogi i trzydziestu ośmiu pasażerów zginęło w tej katastrofie, i jednym z nich był Morivenn, a razem z nim na pokładzie statku było ośmiu ludzi ze Skereth - trzech w jego delegacji, trzech innych pasażerów oraz Ardric”.

Jego umysł pozwolił mu zastanowić się nad tym przez chwilę, a potem powiedział: „Nie wypiłeś tych dwóch butelek brandy w swojej kabinie”.

Te dwie rzeczy były stwierdzeniami. Po nich, w chwilę później, pojawiło się pytanie.

„Skąd wiesz, że wydostała się tylko jedna szalupa?”

Na to mógł tylko odpowiedzieć, że Wasek mu tak powiedział, co z kolei prowadziło do kolejnego pytania: „A skąd on o tym wie?”.

Na to już nie było odpowiedzi.

Jego umysł jeszcze trochę pogrzebał i poszperał, a po pewnym czasie, gdy huczały już silniki hamujące, powiedział: „Wszystko, co wypiłeś, to jedna szklaneczka brandy i filiżanka kawy. Więc jedno albo drugie musiało zawierać środek usypiający. Odurzenie, tak. Światło w twojej głowie zgasło tak nagle. A po wypiciu brandy Ardric został sam przy stole,

mówiąc do ciebie, podczas gdy ty skupiłeś się na sprawdzaniu pulpitu nawigacyjnego i w ogóle nie zwracałeś uwagi, co on robi.”

A po co miał zwracać na to uwagę? Przecież to był Ardric, który uratował życie Vinsonowi, Ardric, który pojawił się znikąd w dzielnicy Nocnych Ptaków i tak szlachetnie pomógł w kłopotach z anty-federacjonistami, i który tak się niesamowicie szczęśliwie złożyło, że był wykwalifikowanym drugim pilotem, mogli więc wynagrodzić go za uratowanie życia Vinsonowi, dając mu pracę Vinsona. Dlaczego Ardric miałby wrzucić środek usypiający do brandy i zniszczyć statek, który przewoził Morivenna na Vegę? Ardric był przecież gorącym zwolennikiem Federacji…

A przynajmniej tak powiedział.

I być może o tym właśnie rozmyślał, patrząc w gwiazdy. Myślał o tym, w jaki sposób ci wszyscy ludzie mieli zginąć, by zabić Morivenna i utrzymać Skereth poza Federacją. Bo może cała ta sprawa - od chwili, gdy ta dwójka dzieciaków przyszła i przyniosła nam drinki w knajpie na Skambar, a potem namówiła nas na pójście do dzielnicy Nocnych Ptaków…

Dzieciaki i ludzie czekający na nas tam, w miejscu, gdzie mieszkańcy nie wtrącają się w sprawy ludzi, a nawet nie wzywają policji. Mnie pobili i zostawili, lecz Vinsona zaciągnęli do zaułka i przywalili mu dokładniej, a potem nagle pojawił się Ardric i w kilka godzin później był już drugim pilotem *Vega Queen*.

— Ardric! — powiedział ostro, na głos. — Ardric, Ardric!

Wasek odwrócił w jego stronę głowę.

— Co z Ardricem?

— On... — oznajmił Home, nagle tak mocno zdławiony wściekłością, że przez chwilę nie mógł się odezwać. — Wrzucił środek usypiający do mojej brandy, zmienił kurs, zniszczył *Queen*, nikt inny nie mógł...

Wasek zrobił się biały ze wściekłości. Uderzył Home'a w usta tak mocno, że w miejscu gdzie zęby przecięły mu wnętrze warg, poleciała krew.

Wasek wycharczał bardzo cichym głosem:

— Na twoim miejscu, nie powtarzałbym tego więcej, Home. Naprawdę nie powinieneś tego robić, skoro ten człowiek zginął, próbując cię kryć.

Pośród wściekłości, bólu i frustracji, Home bardzo pragnął zabić Waseka, ale nie było to możliwe, więc siedział sztywno z krwią spływającą mu na tunikę, a jego oczy zrobiły się gorące i wściekłe, wpatrując się w kapitana.

— Udowodnię ci to — powiedział i zaklął na Waseka.

Lecz jego słowa były tak bardzo zniekształcone przez krew i opuchliznę warg, że Wasek ich nie zrozumiał.

Łódź ratunkowa wylądowała. Home nie widział zbyt wiele z tego, co wydarzyło się później, ponieważ ludzie z Kapitanatu Portu zabrali go bezpośrednio z łodzi ratunkowej do zamkniętej furgonetki. Powiedzieli mu, że to dla jego własnego bezpieczeństwa. Wasek zameldował się przez radio, zaraz jak tylko łódź ratunkowa oddaliła się od miejsca katastrofy, a wcześniej oczywiście mieli wrak na swoich radarach i do tej pory każdy marynarz w porcie już wiedział, jak doszło do tego wypadku. Przez kilka

niewielkich otworów wentylacyjnych Home mógł dostrzec, że zebrał się tam duży tłum i wykazywał on sporą aktywność. Tak więc sam Home był również zadowolony, że znajdował się w furgonetce, w której ci ludzie nie mogli go dopaść, gdyby im to przyszło do głowy. Wyjechali z portu przez zamkniętą bramę po przeciwnej stronie lądowiska i nie było żadnych kłopotów.

Home nigdy nie był pewny, czy to właśnie wtedy, w dusznym, śmierdzącym olejem i metalem zaciszu furgonetki, czy też później, w obskurnej celi aresztu w Kwaterze Głównej Kapitanatu Portu, stał się nagle innym człowiekiem. Między tymi dwoma miejscami oraz tym, jak się w nich czuł, różnica była niewielka. Gniew, wstyd, degradacja, mdlące niedowierzanie, były w nich zupełnie takie same. Nie mogę już chodzić po ulicy, pomyślał. Nie mogę wejść do baru. Nie mogę rozmawiać z innymi ludźmi. Zawsze chodziłem z podniesioną głową, a teraz nie mogę nawet czołgać się po samej ziemi, aby przejść.

Byłoby już i tak źle, gdybym sobie na to zasłużył. Ale przecież, nie zasłużyłem.

Inny człowiek, ten nowy Home, oznajmił twardo: „Dranie. Ja im pokażę."

Trudno było wtedy pamiętać, że Wasek i pozostali, byli w pełni usprawiedliwieni, co do swoich przekonań. Jego myśli wypełniał tylko wściekły ból, że ludzie, którzy go znali, którzy służyli u jego boku, dowodzili nim - że ktokolwiek z nich, a zwłaszcza Wasek, mógł pomyśleć, iż on, Jim Home, byłby zdolny do czegoś takiego.

Tym, co różniło tego nowego Jima Home'a, od jego dawnego ja, był fakt, że nie pozostało w nim już żadne miękkie miejsce. Żadnych przyjaznych powitań dla pełnych podziwu dzieciaków kupujących drinki. Żadnej wdzięczności za udzieloną w potrzebie pomoc. Ani chęci poznania punktu widzenia drugiego człowieka. Człowiek będący w stanie zamordować wszystkich lub większość ludzi spośród pasażerów i załogi dużego statku, aby wesprzeć jakąś sprawę polityczną, musi być jej gorliwym wyznawcą, ale Home nie był tym zainteresowany.

Zastanawiał się, czy Ardric wciąż żyje.

Miał przeczucie, że tak. W tym strasznym zamieszaniu, inna łódź ratunkowa również mogła uciec, przez nikogo nie zauważona. Nikt nigdy nie będzie w stanie sprawdzić faktycznej liczby ciał we wraku, ani dowiedzieć się, czy wszystkie szalupy zostały odnalezione - te brakujące mogły wyparować w wyniku uderzenia lub rozpaść się na kawałki kosmicznego gruzu. Dobry pilot mógł uciec na długo przed finalnym wybuchem i ukryć swą małą jednostkę na obrzeżach roju meteorów, unosząc się wraz z nim i unikając w ten sposób obserwacji radarowej. Potem mógł zejść na powierzchnię w jakimś odległym miejscu, na prywatnym lądowisku, na którym mógł lądować potajemnie, albo mógł zostać zabrany w kosmosie przez jakiś statek czekający poza zasięgiem radaru.

Och, mógł też zginąć. Nawet jeśli planował ucieczkę, Ardric mógł przecież zginąć. Nie można z dużą dozą pewności zapanować nad katastrofą kosmiczną. Jeśli Ardric rzeczywiście był w kabinie pilotów, kiedy

Wasek próbował obudzić jego, Home'a, to z pewnością nie żył. Ale dlaczego miałby tam być? Już wcześniej połączył się z Wasekiem, wzywając pomocy i wyjawił stan Home'a, był więc pewien, że jeśli ktokolwiek ocaleje z katastrofy, będzie wiedział o wszystkim. Po co miałby dłużej tam czekać i ryzykować?

Taka pewność co do ucieczki Ardrica, to mogło być jedynie myślenie życzeniowe. Ale Home musiał mieć coś, na czym mógł się oprzeć. W przeciwnym razie nie byłoby już dla niego żadnej nadziei, a człowiek musi przecież mieć jakąś nadzieję, by dalej żyć.

Rozpaczliwie potrzebował tego skrawka nadziei, kiedy wyznaczono mu wstępne przesłuchanie przed przedstawicielem Federacyjnego Biura Dochodzeniowego. Obecnych było kilku ludzi stąd oraz paru ze Stowarzyszenia Pilotów i Stowarzyszenia Oficerów Kosmicznych. Słuchali, jak Wasek i grupa innych osób zeznaje na temat tego, co widzieli w czasie katastrofy i później. Słuchali, gdy Home opowiadał swoją historię o dwóch chłopakach, Nocnych Ptakach, antyfederacjonistach i brandy ze środkiem usypiającym, a kiedy mówił, słyszał, jak jego słowa wpadają niczym kamienie do studni. A ponieważ dla słuchających jego opowieść brzmiała niedorzecznie, dla Home'a również zaczęła tak wyglądać i nawet w jego głosie pojawiła się nuta zwątpienia.

Nie miał bowiem żadnego dowodu. Ani jednego najmniejszego elementu, który dowodziłby jego słów. Szczerze mówiąc, tylko spekulował na temat tego, co zrobił Ardric, zaś dla nich Ardric był bohaterem, który zginął na posterunku. Jedyne, czego mógł być tak naprawdę pewien, to tego, czego on sam nie zrobił… a mianowicie, że nie spaprał wyznaczonej trasy, a potem się nie upił.

I nigdy nie zdobędzie żadnego na to dowodu, jeśli nie znajdzie Ardrica.

Wyrok przedstawiciela Biura był przesądzony. Home miał zostać odesłany na Vega Center, na proces, zgodnie z procedurami prawnymi Federacji. Home wiedział, jaki będzie wynik tego procesu. Utrata patentu na stałe, grzywna, więzienie... Równie dobrze mogliby go od razu zastrzelić i mieć to z głowy.

Wasek nawet na niego nie spojrzał, gdy wychodził.

Zabrali Home'a z powrotem do pomieszczenia zatrzymań i zamknęli go w nim. Siedział wpatrzony w ponurą ścianę oraz równie ponuro rozmyślał.

Rozmyślał nad tym, że martwego człowieka trudno będzie odnaleźć, lecz odnalezienie go, było jego jedyną szansą…

ROZDZIAŁ V

Minęły dwa dni, zanim Home wykonał swój ruch.

Była to dosyć płonna nadzieja i zdawał sobie z tego sprawę. Ale jeśli miał w ogóle odnaleźć Ardrica i oczyścić się z zarzutów, musiał zacząć działać teraz, zanim zabiorą go z powrotem na Vegę. Cela była ściśle strzeżona, a strażnik, który go pilnował, był bardzo uważny. Widział tylko jeden sposób na ucieczkę. Wysłał Wasekowi wiadomość. Napisał w niej: „Przynieś należne mi pieniądze. Wtedy przyznam się przed Biurem, że zaniedbałem swoje obowiązki.”.

Home postawił na dwie rzeczy. Po pierwsze, Wasek nie dostanie kolejnego miejsca jako kapitan, dopóki nie zostanie w pełni oczyszczony z odpowiedzialności za katastrofę *Queen Vega*. Przyznanie się Home'a, automatycznie natychmiast oczyściłoby go, tak więc Home miał nadzieję, że kapitan przyjdzie do niego. Po drugie, chodziło o pewną mało znaną klauzulę w Kodeksie Kosmicznym, o której, jak miał nadzieję, strażnik więzienny nigdy nie słyszał.

Wysłał wiadomość tuż przed zachodem słońca, ponieważ Wasek musiał koniecznie przybyć po zmroku. Siedział, obserwując, jak skrawek nieba widoczny w wysoko położonym więziennym okienku, zmienia kolor z pomarańczowego na bladożółty, a potem zaczęło zmierzchać, aż wreszcie zapadła aksamitna noc tej planety. Nic się jednak nie działo. Zaczął się denerwować. Jeśli Wasek nie pojawi się do rana, albo jeśli w ogóle nie przyjdzie…

Wasek przyszedł. Drzwi zostały odryglowane i stanęły otworem, strażnik wpuścił gościa, a następnie zamknął i ponownie zaryglował drzwi od zewnątrz.

Ponury i zgorzkniały Wasek wcisnął mu w rękę kopertę.

— Oto twoja płaca za podróż w tamtą stronę. Chociaż nie jestem w stanie powiedzieć, do czego mógłbyś potrzebować pieniędzy tam, gdzie się znajdziesz.

— Będę potrzebował prawnika, żeby przygotować wniosek o ułaskawienie — odparł ponuro Home i wziął kopertę.

— Powiadomiłem Radę, że złożysz pełne zeznania — powiedział Wasek. — Przesłuchają cię rano.

Home skinął głową.

— Ale najpierw jeszcze jedna sprawa…

— Co?

— To — i Home zamachnął się z całej siły.

Jego pięść trafiła Waseka prosto w szczękę. Kapitan zatoczył się i zaczął się ześlizgiwać po ścianie, a Home skoczył naprzód i złapał go z troskliwością kochanka, kładąc go bezszelestnie na podłodze.

Wasek nie stracił przytomności, ale był tak blisko tego stanu, że nie miało to większego znaczenia. Jego oczy zamgliły się, ręce poruszały się mu w lekko nieskoordynowany sposób, a z ust wydobywał się bełkotliwy mamrot.

Home zaczął działać szybko, zabierając Wasekowi pasek, aby związać mu nadgarstki za plecami, i oddzierając mu pasek materiału z rękawa munduru, aby zrobić knebel, który nie udusi tego człowieka na śmierć. Potem gorączkowo zaczął szukać małej kieszonki w kurtce mundurowej Waseka. Pot wystąpił mu na czoło i palce miał zupełnie odrętwiałe. Przez chwilę myślał już, że tego czego szukał tam nie ma, lecz po chwili wyczuł płaski, twardy zarys przedmiotu i natychmiast go wyciągnął i chwycił w dłoń.

W Kodeksie Kosmicznym znajdował się zapis, który mówił, że każdy licencjonowany kapitan statku miał prawo i obowiązek posiadania oraz noszenia przez cały czas przy sobie, nie-zabójczej broni. Klauzula ta została wprowadzona do Kodeksu w dawnych, bardziej szalonych czasach, z uzasadnionych powodów związanych z pewnymi klasycznymi przypadkami buntu. Większość kapitanów w obecnych czasach przestrzegała regulaminu, nosząc przy sobie miniaturowy paralizator kieszonkowy, którego prawdę mówiąc nigdy nie używali i zwykle w ogóle o nim nie pamiętali. Home zaryzykował więc, że strażnik więzienny także nie będzie o tym wiedział, i teraz wyglądało, że miał co do tego rację.

Stając prosto się z małą bronią w ręku, zobaczył, że Wasek się ocknął. Spojrzenie w jego bladych oczach było niczym laserowy promień nienawiści.

— Bardzo mi przykro — próbował wyjaśnić Home. — Widzisz, od samego początku mówiłem prawdę i muszę to udowodnić, a to jedyny sposób…

Pod naporem blasku tych oczu głos Home'a zaczął cichnąć. Potem powrócił gniew i pilot rzucił tylko:

— Do diabła z tobą.

Podszedł i głośno zapukał w drzwi.

Strażnik pojawił się i je otworzył. Był ostrożny, ale nie dość szybki. Nie miewał zazwyczaj w celi żadnych groźniejszych więźniów, niż pijani marynarze. Próbował wyciągnąć broń, lecz paralizator w ręku Home'a zabzyczał jak mały grzechotnik i strażnik upadł na podłogę. Home wciągnął go do wnętrza celi i położył obok Waseka. Kalkulował, że Wasek prawdopodobnie uwolni się, zanim jeszcze strażnik się obudzi, co dawało mu bardzo mało czasu.

Pełen napięcia gotów był do reakcji na wszelkie zagrożenia, i kiedy wyszedł na korytarz, użyłby paralizatora przeciwko każdemu, kto stanąłby mu na drodze. Odkrycie, że nikogo tam nie ma, stanowiło dla niego lekkie rozczarowanie. Była późna godzina, a budynek Kapitanatu Portu nie był zbudowany ani zarządzany jak więzienie. Home w najprostszy na świecie sposób zszedł na dół i wyszedł z gmachu bocznymi drzwiami.

Kręte uliczki portowej dzielnicy przyjęły go z otwartymi rękoma.

Dwadzieścia minut później zapukał do pewnych drzwi w słabo oświetlonej alejce, i po chwili spoglądała na niego twarz człowieka - jedna

z tych twarzy, które zdawały się być przeciągnięte przez szlam zbrodni stu planet.

— Pamiętasz mnie — powiedział Home. — Byłem tutaj w sądzie, kiedy dwa lata temu byłeś przesłuchiwany w tej sprawie o przemyt. Byłeś winny jak jasna cholera, ale nie mogli niczego udowodnić.

Twarz uśmiechnęła się.

— Ach, tak, pan oficer Home. Ale teraz to my mamy kłopoty, nieprawdaż? Zwialiśmy z aresztu albo nie stawiliśmy się po zapłaceniu kaucji i przyszliśmy tutaj po…

Home przepchnął się koło niego do obskurnego pokoju i położył na stole pieniądze.

— Za dostatecznie dobry kamuflaż, żeby przejść obok policji portowej, za patent Marynarza Kosmicznego Pierwszej Klasy i za miejsce na pierwszym statku, który leci na Skereth. Oto jest trzysta kredytów.

Twarz roześmiała się głośno.

— Naprawdę, za tak małą sumę, naiwnością byłoby się spodziewać…

— To nie wszystko — oznajmił Home, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej paralizator. — Mam jeszcze to. Łupiący ból głowy przez tydzień. A może wolałbyś raczej przyjąć te kredyty?

* * *

Dziesięć dni później Home, zupełnie nie przypominający samego siebie, siedział zaszyty głęboko w trzewiach przysadzistego statku handlowego z Obrzeży, który startował w kierunku Skereth.

Podczas długiej, powolnej podróży powrotnej przez Obrzeża, Home miał czas, by pomyśleć. Miał czas, by w myślach raz za razem analizować w kółko wszystko, co wiedział o Ardricu. Niewiele tego było, a główną część stanowiła informacja, że Ardric wspominał mu kiedyś, iż jego domem jest Rillah, miasto dawniej rządzące całą Skereth, położone nad małym, śródlądowym morzem, naprzeciw nowego miasta-portu kosmicznego. Oczywiście, Ardric mógł kłamać w tej sprawie, tak jak kłamał w wielu innych kwestiach…

Kiedy zbyt długo rozmyślał o Ardricu, ręce zaczynały mu lekko drżeć. Obawiał się wręcz, że nawet jeśli kiedykolwiek odnajdzie Ardrica, to zabije go od razu, zamiast zmusić do wyjawienia prawdy. Potem powracała mroczna depresja i szeptała mu, że Ardric tak naprawdę nie żyje, że nigdy nie dałby rady uciec z wraku na czas i że jest idiotą, szukając trupa, widmo…

* * *

Skereth w końcu zaczęła toczyć się w stronę frachtowca, niczym brązowa kula. Kiedy statek przebił się przez odwieczną warstwę chmur do

ruchliwego kosmoportu w Skambar, Home poczuł ukłucie w sercu, myśląc o tym, jak niedawno opuścił to miejsce jako główny pilot dobrego statku, nie mając żadnych zmartwień.

Kiedy frachtowiec zadokował, Home nie opuścił jego pokładu z resztą załogi. Celowo spartaczył pewną robotę i tak ją przewlekał, że przeklinający drugi oficer poprzysiągł mu, że nie dostanie przepustki na powierzchnię planety, dopóki nie wykona tego co miał zrobić, do samego końca. Home z obrażoną miną na twarzy zabrał się do pracy, wykorzystując każdą okazję, by mieć oko na doki, na zewnątrz statku.

Za bramą doku stała mała grupka ludzi ze Skereth. Nie byli żadnymi urzędnikami, lecz stali tam, rozmawiając między sobą i obserwując każdego, kto schodził ze statku. Od czasu do czasu jeden czy dwóch z nich odlatywało, a potem wracało na stożkowatych lataczach.

Czy byli to policjanci?

Być może. Home doskonale wiedział, że jego ucieczka zostanie nagłośniona i że przedstawiciele władz na Skereth otrzymają odpowiednie ostrzeżenie.

Ale co, jeśli to nie była policja? O ile nie mylił się w swoich wnioskach, na Skereth istniał wielki, głęboko zakorzeniony spisek… spisek, który wykorzystał Ardrica do zabicia Morivenna, by Skereth pozostała poza Federacją. On, Home, zasugerował to w zeznaniach złożonych na przesłuchaniu i nikt mu nie uwierzył.

— Nie, to nie jest policja — pomyślał Home. — To są ci, którzy wysłali Ardrica z tą misją…

Mogli dojść do wniosku, że Jim Home, zbiegły więzień, może próbować wrócić na Skereth w poszukiwaniu Ardrica. Wykrzyczał przecież swoje zarzuty wobec Ardrica, wystarczająco głośno. I jeśli Jim Home wróci kiedykolwiek na Skereth, najwyraźniej byli na gotowi na jego powrót.

Home zrewidował swoje plany. Nie będzie mógł zejść ze statku i polecieć pierwszym publicznym lataczem przez śródlądowe morze do Rillah. Musiał znaleźć jakiś inny sposób.

Przeciągnął swoją robotę aż do nocy, tak więc tej nocy bezczelnie odmówiono mu przepustki, i udał się do swej koi. Na kilka godzin przed świtem, w odwiecznych pozbawionych gwiazd ciemnościach nocy na Skereth, Home wymknął się ze statku.

Obserwatorzy wciąż tam byli, choć teraz pozostało ich już tylko trzech. Mógłby użyć paralizatora, lecz miał dosyć solidne podejrzenia, że w pobliżu kręcą się jeszcze inni i nie sądził, aby tym sposobem udało mu się zajść zbyt daleko.

Statek otaczała bariera elektryczna, nie o śmiertelnym ładunku, ale bardzo nieprzyjemna podczas jej pokonywania. Home przykucnął w ciemności po drugiej stronie statku w stosunku do bramy, i zaczął pracować zaizolowanymi narzędziami, które ukradł ze statku.

Dwa razy musiał wstrzymać swą pracę i skulić się bez ruchu jak cień, podczas gdy w górze przelatywały z leniwym, świszczącym odgłosem stożkowate latacze. Był prawie pewien, że to byli inni obserwatorzy. Home'owi wydawało się, że są oni w tym względzie strasznie skrupulatni.

Zbyt skrupulatni, zbyt bezwzględni. Musiało w tym wszystkim chodzić o coś więcej niż tylko polityczne uprzedzenia przeciwko przystąpieniu Skereth do Federacji. Ale co to mogło być?

Home utorował sobie wyjście przez osłonę i prześlizgnął się przez nie, zderzając się czołowo z dwiema postaciami nadchodzącymi tak cicho, że ich nie usłyszał.

Odskoczył do tyłu i wtedy zobaczył, że są to Nocne Ptaki. Nie wznieciły one żadnego alarmu, nawet na niego nie spojrzały, tylko dreptały na swoich absurdalnych ptasich nogach, bezszelestnie jak cienie. Widział, jak okrążają dok i mijają małą grupkę ludzie przy bramie, nie zatrzymując się nawet, i przypomniał sobie, jak Mica mówił mu, że pracują nocą na terenie portu kosmicznego i utrzymują niewiele kontaktów z ludźmi, a już zupełnie żadnych z ludzką policją.

Żałował tego tamtej nocy, kiedy on i Vinson zostali zaatakowani. Teraz się z tego cieszył.

W ciągu godziny Home dotarł na nabrzeże rybackie w Skambar i stał tam w gęstym mroku. Wzdłuż wąskich nabrzeży stały zacumowane lekkie, metalowe motorówki, wymieniając między sobą chaotyczne pluski, w miarę jak unosiły się i opadały na fali. Na nabrzeżu nie było strażnika. Śródlądowe morze Skereth znane było z tego, że pełno na nim było odrażających form życia, tak że tylko najtwardsi z ludzi łowili w nim za dnia, a nikt przy zdrowych zmysłach nie wypłynąłby na nie podczas nocy łodzią.

— A więc, ja nie jestem przy zdrowych zmysłach — mruknął do siebie Home i wybrał najbardziej odpowiednią łódź - metalową, dwuosobową motorówkę, o dużej mocy.

Wypływając, uświadomił sobie, że zabiera jakiemuś rybakowi cały majątek i wszystkie środki do życia. Dawny Home czułby z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia. Nowy Home od razu wyrzucił tę myśl z głowy. Obecnie liczyło się tylko to, że zmierzał do Rillah… i do Ardrica.

ROZDZIAŁ VI

Wielka, wijąca się, lśniąca macka wynurzyła się z czarnej wody tuż przed łodzią. Home jedną ręką mocno szarpnął za uchwyt steru, a drugą sięgnął po paralizator. Mały statek o kształcie pocisku, wykręcił w szaleńczym tempie, wzbijając spod metalowego kadłuba kłęby zimnego, ognia fosforyzującej wody. Macka kontynuowała swój leniwy ruch, nie zdradzając żadnych oznak, że zwróciła uwagę na manewry stateczku. Home zaczął się śmiać. To był tylko długi, gęsty kłąb wodorostów, który nabrał pozorów życia dzięki kołysaniu się całej łachy zielska w jakimś niewidocznym prądzie.

Jego śmiech był nieco zbyt głośny, dźwięcząc w szokującej samotności pustego morza. Home zdusił go. Nie mógł sobie teraz pozwolić na budowanie jeszcze większego napięcia. Pokonał już znaczną część długiej i strasznie trudnej drogi, lecz czekał go jeszcze dłuższy i trudniejszy jej fragment, do miasta Rillah, w poszukiwaniu ducha.

— Może — mruknął pod nosem — lepiej będzie jeśli trochę się prześpię.

Pocił się i dygotał w sposób, który go niepokoił. Pociągnął za dźwignię regulacji prędkości, aż łódź zwolniła do szybkości bezpiecznej. Wiązka radarowa pozwalała na ominięcie skał lub wysepek z unoszących się wodorostów, zbyt gęstych, aby można było przez nie przepłynąć, wprowadził więc łódź z powrotem na obrany kurs. Noc miała się jeszcze ciągnąć przez sporą liczbę godzin, bo noce tutaj trwały prawie trzy ziemskie dni.

Położył się w wąskiej rynnie kokpitu i nasunął nad siebie plastikowy daszek na wypadek deszczu. Deszcz na Skereth nie oznaczał jedynie zmoczenia. Ulewa mogłaby zalać łódź, zanim zdążyłby się obudzić.

Leżał nieruchomo, czując spokojne unoszenie się i opadanie czarnej wody, niczym jakiegoś oddechu drzemiącego olbrzyma. Był wyczerpany, wewnętrznie, wypalony intensywnością, jakiej jego życie nabrało w ostatnich tygodniach.

Leżąc w łodzi, nagle pomyślał o Denmanie. Przypomniał sobie, jak bardzo współczuł temu małemu człowieczkowi z Federacji, kiedy podrzucili go na tę barbarzyńską planetę, by zamieszkał z humanoidami i spróbował wyśledzić uciskających ich łowców niewolników. Czuł się niemal winny, kiedy zostawiali tam Denmana.

„Powinienem był zachować nieco tej litości dla siebie” — pomyślał Home.

Leżał, wpatrując się w niebo przez przezroczystą pokrywę osłony, czekając na sen, i zauważył coś, co w pierwszej chwili uznał za słabą gwiazdkę, położoną nisko i daleko na zachodzie.

„Chmury musiały się rozstąpić — pomyślał i zamknął oczy. Łódź sunęła łagodnie po tętniącym życiem morzu.

Przerwa w chmurach, gwiazda… to oznaczało, że jutro może świecić słońce.

Home wstał, odchylając osłonę. Musiał być na wpół przytomny, inaczej pamiętałby natychmiast, że na Skereth chmury nie rozstąpiły się ani razu, od wielu pokoleń.

Czymkolwiek było to światło na niebie, nie była to gwiazda. Nadal tam się znajdowało, ale jaśniejsze, a patrząc na nie teraz, zobaczył wyraźnie, że porusza się w tą i z powrotem, jednocześnie stale podążając naprzód. Przypominało mu człowieka z latarką, który idzie w ciemności, szukając czegoś.

Szukając czegoś.

Obserwował światło, nachylając się nad sterami łodzi. Serce znów biło mu mocno, a ręce drżały.

Światło poruszało się tą i z powrotem, zbliżając się coraz bardziej, omiatając ciemne morze.

Szukając czegoś…

Szukając jego…

Światło poruszało się nieśpiesznie, metodycznie, niestrudzenie. Zaczął przesuwać dźwignię gazu do przodu, lecz po chwili zmienił zdanie. Gdyby teraz wzbudził falę, ta cholerna fosforescencja zdradziłaby go natychmiast. Z nieba byłaby widoczna jak ognista strzała wycelowana prosto w niego. Nawet jego obecna prędkość była w tej chwili zbyt wysoka. Przesunął dźwignię w położenie spoczynkowe i stanął wyprostowany, rozglądając się rozpaczliwie i zastanawiając się co zrobić. Gdyby pozostał, dryfując w tym miejscu gdzie był, w końcu oślepiające światło złapałoby go swoim promieniem, a ludzie czający się za nim albo zabraliby go z powrotem na proces, albo od razu zastrzelili, najprawdopodobniej to drugie. Musiał się ukryć. Ale gdzie na otwartym morzu można się ukryć?

W wyspie wodorostów, jeśli uda się ją znaleźć i dotrzeć do niej na czas.

Wpatrywał się ze mrużonymi oczyma w noc.

Po lewej stronie pojawiła się smuga luminescencji, miękka i słaba, zbyt wysoka, by była to jedynie plama na powierzchni. Ponownie popatrzył na światło, a potem zaczął gorączkowo rozbierać się do koszuli i szortów. Stopy miał już bose. Na dziobie łodzi zwinięta była plastikowa cuma, przeznaczona do użycia w miejscach, gdzie nie było cum magnetycznych. Zawiązał jej koniec wokół talii i zsunął się za burtę, starając się zbyt mocno nie plusnąć.

Woda była ciepła. Spokojna, ale z tą wielką, powolną, pulsującą żywotnością morza, które nigdy nie jest całkiem spokojne. Była bardzo rozległa i czarna, i żyły w niej stworzenia bardziej ohydne i głodne niż jakiekolwiek żyjące w oceanach Ziemi. Home płynął powoli, z maksymalną ostrożnością, holując za sobą łódź i nieustannie poruszając głową na boki, wypatrując charakterystycznych błysków. Światło za nim błyskało coraz bliżej.

Zaczął płynąć szybciej, w stronę bladego połysku przed sobą.

Zimne, śliskie macki wodorostów musnęły jego nagie ciało. Skurczył się, ale nie było innego sposobu, więc zmusił się do wpłynięcia w masę zielska, która gęstniała coraz bardziej, aż prawie mógłby w niej ustać. Wkrótce wysoko rosnące liście wygięły się nad jego głową niczym korony drzew, tak że poruszał się w splątanej sieci miękkiego światła – liście, łodygi i gałęzie lśniły srebrem na tle czerni morza i nieba.

Nie mógł już obserwować poszukującego go pojazdu na niebie. Mata z wodorostów była śliska, ale stwarzała solidną podporę pod stopami. Zebrał więc wszystkie siły i pociągnął łódź, aż znalazła się pod przypominającymi korony drzew liśćmi. Potem pospiesznie wdrapał się z powrotem na motorówkę, drżąc z obrzydzenia na myśl o dotyku wodorostów. Zaczął naciągać wstęgi tego zielska na metalowy kadłub i na częściowo zamkniętą osłonę, aby żaden odblask go nie zdradził. Potem skulił się w łodzi jak w jaskini, otoczony srebrzyście świecącym zielskiem i czekał.

Wkrótce na niebie rozległ się odgłos podobny do leniwego poświstu. Nie widział samego statku, ale po dźwięku domyślił się, że to jeden z tych stożkowatych dronów. Naukowcy ze Skereth nauczyli się kontrolować cząstkę G w jądrze atomu żelaza, jakiś czas wcześniej, zanim naukowcy z Ziemi w ogóle odkryli jej istnienie. Ten odgłos brzmiał jak dźwięk pracy silnika na sprężone powietrze do lotów przy niskich prędkościach.

Delikatną poświatę wodorostów przyćmiło nagle ostrzejsze i jaśniejsze światło. Jego snop przesuwał się z bolesną powolnością, po pływającej wyspie, szukając, badając.

Home schował głowę między ramiona, jakby to miało mu jakoś pomóc.

Przez otwarty koniec osłony, patrząc ponad rufą łodzi, Home widział wodorosty jako brzydkie splątane, blade, zarobaczone pędy i wiotkie liście, których całe baśniowe piękno zostało zniszczone przez bezlitosne światło. I zobaczył coś jeszcze.

Coś dużego, lśniącego wilgocią i żywego, niezależnie od wodorostów.

Home zamarł w miejscu, w którym kucał, z jedną ręką wyciągniętą, by spoczywała na małym paralizatorze, który znajdował się tuż koło niego, ale go nie podnosiła.

Jakiś wielki, błyszczący twór prostował się i kurczył, prostował się i kurczył, poruszając się z jakąś upartą determinacją, której widok był przerażający. Wszystkie koszmary dzieciństwa Home'a, powróciły do niego. Dawno temu, daleko na Ziemi, mieszkał w pobliżu piaszczystych plaż, kochając morze, ale zastanawiając się, dlaczego w jego wspaniałych głębinach musiały rodzić się tak obrzydliwe stworzenia. Teraz szczyt tego rodzaju grozy zbliżał się do niego nieubłaganie, a przeklęty stożek unosił się nad nim, omiatając okolicę reflektorem, podejrzliwie badając wyspę, która była jedynym miejscem, gdzie zbieg mógł ukryć skradzioną łódź i siebie samego.

Home siedział w łodzi, uwięziony. Nie odważył się wzniecić niepotrzebnego zamieszania w wodorostach, używając paralizatora aby odeprzeć atak.

Nie odważył się też pozwolić stworzeniu wejść do siebie, do łodzi.

Światło przebiło się przez jego kamuflaż z liści wodorostów i oświetliło bezpośrednio wnętrze łodzi, tak iż miał wrażenie, że wszyscy we

wszechświecie mogą go teraz zobaczyć. Zaklął pod nosem, mamrocząc pod nosem: „No dalej, co? No leć sobie stąd!”. Skulił się w sobie, wzdrygając się na myśl o spodziewanym za chwilę niszczącym uderzeniu z góry i jednocześnie wpatrując się pustymi oczami w głodne stworzenie, zainteresowane jedynie zdobyciem obiadu, przesuwające się ku niemu po mokrych wodorostach. W końcu nie mógł już tego dłużej znieść. Zasunął daszek do końca, odcinając się od gumowatego, galaretowatego stwora, który już gramolił się nad rufą. To był bardzo niewielki ruch. Jeśli dostrzegą go ci z góry, będą musieli go wykryć, to jasne.

Najwyraźniej nie dostrzegli. Światło wpadające do łodzi robiło się coraz słabsze. Początkowo myślał, że to dlatego tylko, że morskie stworzenie wspięło się na górę osłony. Ale potem zdał sobie sprawę, że stożek się oddalał. Świst jednostki napędowej dochodził z coraz większej odległości, cichnąc powoli, w miarę jak stożek kontynuował swoje przeszukiwanie morza.

Wziął do ręki paralizator i czekał, czując, jak rufa lekko obniża się pod wpływem przeciągającego się po niej ciężaru, potem obserwując spód stworzenia wślizgujący się na osłonę i mając nadzieję, że plastik wytrzyma.

Kiedy wodorosty znów zalśniły srebrem, a dźwięk stożka ucichł już kompletnie, Home zrobił kilka rzeczy z niemal histeryczną prędkością. Lewą ręką wcisnął przycisk uruchamiający mały silnik odrzutowy łodzi. Jednocześnie prawą ręką odchylił osłonę o kilka cali i uruchomił paralizator trafiając bezpośrednio w stworzenie, modląc się, aby ta istota miała przynajmniej na tyle rozwinięty układ nerwowy, aby to poczuć.

Stworzenie zaczęło się z wolna, lecz gwałtownie miotać, wstrząsając wysepką z wodorostów i rzucając łodzią tak gwałtownie, że Home z głuchym łomotem uderzył o burtę, przy której ledwie zdołał się utrzymać. Po kilku minutach ruch ustał, i po spojrzeniu w górę Home zobaczył, że osłona jest pusta. Wstrząsy wodorostów na zewnątrz również ustały. Wyłączył silnik i ostrożnie wyjrzał przez rufę, odchylając osłonę. Stworzenie, najwyraźniej nie lubiąc drgań wywołanych przez paralizator, zanurzyło się głęboko w wodzie, a jedynie fale spod jej powierzchni kołysały wodorostami. Home poczekał, aż ustaną, i wysunął się na dziób łodzi. Następnie z najwyższą niechęcią ponownie zanurzył się w wodorostach.

Kiedy ponownie wyciągnął łódź na otwartą wodę, wdrapał się do niej, osuszył się i ubrał, a następnie kilka razy głęboko pociągnął z manierki, którą znalazł wśród skromnych pokładowych zapasów. Słaba „gwiazda” wciąż była widoczna, oddalając się w stronę tym razem wschodniego horyzontu. Popatrzył za nią z nienawiścią. W tym starciu miał szczęście, ale w żadnym wypadku nie było to jakieś wielkie zwycięstwo.

Jeśli polowali na niego na Skereth, wiedzieli, dlaczego tu przybył, i dokąd najprawdopodobniej się uda - do Rillah, rodzinnego miasta Ardrica. Ich lot nad tym śródlądowym morzem był jednocześnie lotem do Rillah i nieuchronnie dotrą tam na długo przed nim. Musiał więc zmienić wszystkie swoje plany, niezależnie od tego, jakie by one nie były. Nie może skierować się teraz prosto do Rillah, lecz będzie musiał wylądować gdzieś

wiele mil w bok od tego miasta i zatoczyć krąg, aby dostać się do niego od innej strony. Bo oczywiście, oni będą na niego czekać.

Oni. Bezosobowe słowo, prawdopodobnie oznaczające jakichś urzędników Federacji, z pewnością policję Skereth, lokalne władze Rillah i, jeśli Ardric jeszcze żył, samego Ardrica. Całe cholerne miasto będzie go wypatrywać, a on nie będzie miał szans, jeśli go dostrzegą.

ROZDZIAŁ VII

Home'a ogarnęło znużenie i czarna rozpacz. Co z tego, że tym razem mi się udało, pomyślał, równie dobrze mogłem pozwolić im się złapać. Albo trzeba było wyskoczyć za burtę i mieć to wszystko z głowy. Albo spróbować uciec ze Skereth, na którąś z peryferyjnych planet. Jest wiele miejsc, w których człowiek może się ukryć.

Ukryć się, to dobre określenie. Nie, niech diabli wezmą takie życie.

Dziewięćdziesięciu siedmiu członków załogi i trzydziestu ośmiu pasażerów, dobry statek, a oni mówią, że to stało się przeze mnie. Oskarżyli mnie, że jestem nędznym pijakiem, niedbałym, morderczym draniem.

Home zacisnął pięści i delikatnie zaczął uderzać nimi o burtę. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że opanował swoje demony i zdusił je w sobie, wracały one do niego, a cierpienie było równie wielkie jak wcześniej.

Popatrzył ponad ciemnym morzem w stronę Rillah, gdzie znikały już ostatnie promyki wykorzystywanego przez stożkowaty pojazd światła. Przelecą nad wybrzeżem, nadbrzeżnym pasmem górskim, dolinami zewnętrznymi i wewnętrznymi, skierują się na rozległą równinę za nimi, gdzie u zbiegu dwóch rzek stało miasto.

— Niech mnie diabli, jeśli mu na to pozwolę — oznajmił głośno i stanowczo. Twarz Ardrica stanęła mu wyraźnie przed oczyma, przystojna, schludna, inteligentna twarz, być może odrobinę za chuda w ustach i o zbyt twardym spojrzeniu - tyle że nikt nawet by o tym nie pomyślał, dopóki ten drań nie wbiłby mu noża w plecy.

— Jeśli ten łotr żyje — mruknął pod nosem Home — pożałuje tego, że nie zginął w katastrofie *Vega Queen*!

Wyciągnął mapę i obrał nowy kurs, mocno na południe od tego, którym płynął poprzednio. Stożkowaty latacz zniknął teraz już całkowicie z pola widzenia. Przesunął do końca dźwignię prędkości i łódź skoczyła przez czarną wodę, rozsiewając za sobą fontannę jasnego blasku.

Na Skereth dzień i noc są długie, a zmierzchy między nimi powolne i przeciągłe. Było jeszcze ciemno, kiedy Home w końcu dotarł do opustoszałego wybrzeża, ukrywając łódź pod kłębowiskiem skał, w miejscu gdzie stromo opadające skalne klify runęły na wąską plażę. Świt ujrzał go, przechodzącego przez grzbiet przełęczy, idącego z twardą stanowczością, z niewielkimi zapasami wiszącymi na ramionach. Jego długie, szczupłe ciało wciskało się w zbocze góry. Kiedy nastał pełny poranek, dotarł do podnóża wzgórz nad równiną i stanął, spoglądając na brunatną pustkę jałowych terenów, na pierwszy rzut oka równie rozległą jak morze, które pozostawił za sobą.

Napił się obficie ze źródła, zjadł kilka kęsów resztek jedzenia, przespał chwilę w szczelinie skalnej i ruszył dalej. I długi, długi dzień ciągnął się w nieskończoność.

Południe. Niewidoczne pomarańczowożółte słońce zabarwiło chmury smugami złota, krwawego karmazynu i nieoczekiwanie różowo-liliowymi cieniami. Ciepło przesączało się przez warstwy chmur niczym materialna substancja, wypełniając przestrzeń między lądem a niebem, tak że nawet wiatr, który wiał, wiał i nigdy nie cichł, przetaczając się po płaskiej równinie, nie był stanie jej ochłodzić. Zapętlone meandry rzeki przypominały strumień roztopionego mosiądzu wypływającego z jakiegoś ogromnego tygla, a kolczaste drzewa obok niej miały barwę matowego płomienia. Żółte trawy rosły do pasa, falując pod wpływem gorącego jak z pieca wiatru, zaś co jakiś czas barwy nieba ciemniały do poziomu ponurej purpury, a wszystko co się poruszało, zastygało w bezruchu i czekało na burzę.

Tuż przed zerwaniem się jednej z takich burz Home zobaczył wieżę strażniczą. Była to ewidentnie bardzo stara i zniszczona relikwia z dawnych, bardziej prymitywnych czasów. Prawdopodobnie nie było w niej strażnika, odkąd ludzie zaczęli latać w powietrzu i używać sztucznych oczu oraz uszu. Lecz Home'owi się nie podobała, nawet pomimo tego. Sprawiała, że czuł się bezradny i obnażony. Do tej pory w tych rzadkich chwilach, gdy dostrzegł stożkowate latacze - celowo wybrał trasę z dala od regularnych korytarzy lotów - mógł schować się w wysokiej trawie, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło. Ale ta wieża stała nieruchomo i musiał ją ominąć, a możliwości ukrycia się przed nią, nie było.

Pierwszy podmuch burzy, sztorm, który sprawił, że normalny, stale wiejący wicher, nagle wydał się tylko słabym powiewem, rzucił go na czworaka, a potem zapadła gęsta ciemność, która skryła wieżę i wszystko inne pod pokrywą chmur i ulewnego deszczu. Home’owi przyszło do głowy, żeby wykorzystać burzę jako osłonę. Wiatr wiał w odpowiednią dla niego stronę. Pozwolił mu się więc porwać.

I rzeczywiście go porwał. Rzucało nim, zataczał się to w jedną, to w drugą stronę, a deszcz lał jak z cebra, niczym wodospad, zaś błyskawice były niesamowite. Nigdy wcześniej nie próbował spacerować po Skereth w czasie burzy i bardzo szybko zrozumiał, dlaczego nie był to dobry pomysł. Stracił wszelką orientację, huk grzmotów był ogłuszający, błyskawice oślepiały, a deszcz topił na stojąco. Dwa lub trzy razy mignęła mu wieża, otoczona drżącym blaskiem, a potem już nie widział niczego, aż nagle pod stopami rozpostarł mu się głęboki wąwóz, wypełniony po brzegi rwącą wodą. Okręcił się, opadł na czworaka i wczepił się w ziemię, aby uniknąć zjechania do wąwozu. Wokół niego, niewiarygodnie nagle, pojawili się ludzie - nie był pewien, ilu ich było, dwóch, trzech, czterech, zataczający się ku niemu, wyciągający ręce, aby go schwytać.

A więc, w wieży jednak byli obserwatorzy. Czekali na niego nawet tak daleko od Rillah. Dostrzegli go z daleka i domyślili się, że może spróbować przedostać się obok wieży, w czasie burzy. Nie zamierzali mu na to pozwolić.

Home warknął jak zwierzę i rzucił się na najbliższego z ludzi.

Upadli na mokrą trawę, w strugach ulewnego deszczu. Home bił swojego przeciwnika pięściami po głowie. Od tyłu pochwyciły go ręce, i odciągnęły. Odwrócił się, skulony, i zaczął z nimi walczyć. Kotłowali się niezgrabnie w wichurze i w deszczu, kiedy, nagle, błyskawica na niebie jakby zmieniła się w błyskawicę w głowie Home'a i wszelkie grzmoty ucichły.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się w kamiennym pomieszczeniu z pękniętym sufitem, przez który przedostawały się krople deszczu. W kącie jasno paliła się nowoczesna, przenośna lampa. Leżał na wznak, na bardzo brudnej podłodze, a czterech mokrych i ubłoconych mężczyzn spoglądało na niego z góry.

Czterech mężczyzn i kobieta.

Kobieta była młoda, bardziej przypominała dziewczynę niż dorosłą kobietę, i nie była ani mokra, ani zabłocona. Ubrana była tak samo jak mężczyźni, w luźną koszulę z jakiegoś jedwabistego materiału, szorty i sandały, ale koszula i szorty leżały na niej zupełnie inaczej. Miała długie, żółte włosy i dosyć intensywnie zielonkawe oczy, a wyraz jej twarzy był zdecydowanie zbyt ponury jak na tak młodą i ładną osobę.

— Obudziłeś się już? — spytała go w dobrym Universalu z cieniem tego samego akcentu, co Ardric. To sprawiło, że Home się najeżył. Usiadł, pocierając głowę i rozglądał się gniewnie. Zabrano mu paralizator. Jeden z mężczyzn trzymał w ręku broń przypominającą pistolet.

— Tak — odparł, — obudziłem się.

Wstał, ciągle oszołomiony, ale zbyt dumny i zły, aby się do tego przyznać.

— Kim jesteście? — spytał. — Z policji czy kumple Ardrica? A może jedno i drugie?

Dziewczyna odpowiedziała mu:

— Jesteśmy zwolennikami Morivenna.

— Morivenna? — Home wciąż był oszołomiony i nie od razu pojął znaczenie tych słów. Potem powiedział: — Ale Morivenn zginął na *Vega Queen*.

— Wiem — odparła dziewczyna. — Jestem jego córką.

Home zastygł bez ruchu, podczas gdy kolejne błyskawice rozbłyskiwały za oknami wieży, a grzmoty wstrząsały jej kamiennymi ścianami.

Potem powiedział cicho:

— Bardzo przepraszam. I chyba będziesz musiała zabić mnie, jeśli się na to zdecydowałaś. Ale nie jestem odpowiedzialny za tę katastrofę.

Wydawało mu się, że czterej mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia. Twarz dziewczyny pozostała jednak nieruchoma i obojętna.

Stwierdziła:

— Są w Rillah ludzie, którzy twierdzą, że jednak tak.

— Są w Vega Center ludzie, którzy też tak twierdzą. To nie znaczy, że to jest prawda. — Zawahał się. — A co mówi Ardric?

— Ardric nie żyje.

— Jesteś tego pewna?

Nie odpowiedziała na to pytanie.

— Opowiedz mi o katastrofie.

Opowiedział jej co się stało, podczas gdy woda hałaśliwie kapała po kamieniach, zaś mężczyźni patrzyli na niego z zaciśniętymi, twardymi twarzami.

— Kurs został zmieniony już po tym, jak ja go ustawiłem. A człowiek nie zapada w pijackie odrętwienie po jednym kieliszku brandy. Ktoś bardzo starannie zaplanował zniszczenie statku i żeby to zrobić, musiał usunąć mnie ze swojej drogi. To mu się idealnie udało, bo nawet gdyby ktokolwiek przeżył katastrofę, to ja albo moja pamięć zostałyby obarczone winą za nią i nikt nie pomyślałby nawet o szukaniu jakiejś innej przyczyny.

Home dodał jeszcze, a jego twarz znów przybrała ten sam żelazny wyraz:

— Musiał bardzo pragnąć zabić twojego ojca.

— Ardric?

— A kto inny? Był moim drugim pilotem. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

— Ale Ardric zginął w katastrofie. Czy poświęciłby też swoje życie?

— Fanatycy znani są przecież z takiego sposobu działania. Tyle że Ardric nie był fanatykiem. Był marynarzem i człowiekiem mocno stąpającym po świecie, po rzeczywistym, twardym świecie, gdzie dwa plus dwa zawsze równa się cztery. Nie musiał wcale zginąć w katastrofie. Wystarczyło, że uciekł łodzią ratunkową i ukrył się. Wrócił do domu, gdzie znalazł się wśród przyjaciół i będzie mógł pluć Federacji w twarz.

— Nie wszyscy tutaj jesteśmy jego przyjaciółmi — zauważyła dziewczyna. — Siadaj.

Machnęła ręką w stronę bloku kamienia, który spadł gdzieś z góry, a sama usiadła na kolejnym. Przetaczająca się przez równinę burza, wyraźnie słabła. Jeden z mężczyzn wspiął się po krętych schodach, które stanowiły część zewnętrznego muru i wciąż były solidne, sięgając niemal szczytu wierzy. Zniknął gdzieś na górze. Reszta pozostała na swoich miejscach, blokując drogę między Homem a drzwiami.

Home popatrzył na dziewczynę.

— A więc, on żyje — powiedział.

— Chyba tak. Nie jestem pewna.

Pochyliła się w stronę Home'a, wpatrując się w jego twarz niezwykle mądrymi oczami, ani przyjaznymi, ani wrogimi, oceniając jedynie, jakim jest człowiekiem, na ile można mu zaufać, na ile można po nim spodziewać się zrozumienia.

— Masz na nazwisko Home?

— Zgadza się.

— Ja nazywam się Yso. Tych czterech, to moi przyjaciele, tak samo jak przedtem byli przyjaciółmi mojego ojca. Wydaje mi się, że wierzę w twoją historię o katastrofie, Home. I myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc…

— Być może — stwierdził Home, – i wyglądasz mi na miłą dziewczynę, choć nie mogę powiedzieć, abym szalał za twoimi przyjaciółmi. Ale zależy mi tylko na odnalezieniu Ardrica i wyduszeniu z niego prawdy. Polityka Skereth to wasza sprawa, nie moja.

Wstał i popatrzył na człowieka trzymającego broń.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Proszę, nawet nie próbuj — rzucił. — Ponieśliśmy tak wielkie ryzyko i tyle zachodu, żeby cię przechwycić, że nie chciałbym być zmuszony do spalenia ci nogi.

Home zmarszczył brwi, z głową lekko wysuniętą do przodu, z ugiętymi i napiętymi kolanami.

— Właśnie o coś takiego mi chodzi — dodał spokojnie mężczyzna.

— Myślę, że zrobiłbyś to — odparł Home, wzruszył ramionami i ponownie usiadł. Popatrzył na dziewczynę z ponurą urazą. — Czy w ten sposób zdobywacie wielu rekrutów?

— Nie mamy czasu na uprzejmości — oznajmiła. — Nie rozumiesz, jak tu jest. Myślisz, że wystarczy dostać się do Rillah, znaleźć Ardrica i wydusić z niego prawdę. To nie takie proste. Gdybyśmy cię tu nie znaleźli i nie zatrzymali, byłbyś martwy na długo jeszcze przed zachodem słońca. Nawet byś nie dotarł do granic Rillah.

— Wiedziałem, że będą na mnie czekać — stwierdził ponuro Home. — O mało co nie złapał mnie latacz na morzu i byłem prawie pewien, że to policja zmierzająca w stronę Rillah.

— Policja — rzucił człowiek z bronią — to najmniejszy z twoich problemów. Mówisz, że nie interesuje cię nasza polityka, ale lepiej się nią zainteresuj, bo ona zwali ci się na głowę.

ROZDZIAŁ VIII

Dziewczyna wtrąciła się, mówiąc:

— Zostawmy to teraz, Ewanie. My…

— Nie. Yso — oznajmił z uporem Ewan — lepiej żeby już obecnie miał pełen obraz sytuacji. To oszczędzi nam wszystkim kłopotów później. — Znów zwrócił się do Home'a. — Morivenn zmierzał na Vega Center, żeby wprowadzić Skereth do Federacji Galaktycznej. Ardric dopilnował, aby tam nie dotarł, a zabijając Morivenna, nie tylko powstrzymał wejście tutaj Federacji, ale wręcz niemalże nie doprowadził do ruiny całej partii federacyjnej. Morivenn był silnym przywódcą i nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić. Lecz Ardric nie zrobił tego wszystkiego wyłącznie sam z siebie, ale został nakłoniony przez swoich przyjaciół politycznych.

— Jakoś szczególnie nie obchodzi mnie — zauważył Home — dlaczego on to zrobił. Chcę tylko, żeby się do tego przyznał. Chcę, żeby moje imię zostało oczyszczone. Potem każdy, może sobie rozgrywać piłkę, jak będzie mu się podobało.

— No dobrze — stwierdził Ewan. — Chcesz tylko dopaść Ardrica. Wiesz, kim on jest, jak potężna jest jego rodzina? Wiesz, jakie mają powiązania z Vellae?

— Vellae?

— Partia antyfederacyjna. Czy wiesz, dlaczego Vellae są aż tak bardzo zdeterminowani, aby nie dopuścić do przyłączenia Skereth do Federacji Galaktycznej, że zamordują setki ludzi, by dopaść tego jednego człowieka, który im zagraża? Czy wiesz, co ci zrobią, Home, kiedy tylko pojawisz się w Rillah? No cóż, powiem ci. Vellae są właścicielami całego Rillah. A to miasto jest źródłem i bastionem ruchu antyfederacyjnego. Człowiek o nazwisku Ruric jest jednym z trzech najważniejszych członków triumwiratu, który rządzi Vellae, a obecnie, poprzez swych marionetkowych gubernatorów, również i całą planetą. Ruric to ojciec Ardrica. Czy już zaczynasz rozumieć, Home? Nadal myślisz, że ot tak sobie podejdziesz do Ardrica na ulicy i zmusisz go do przyznania się?

Home odparł tylko:

— No dalej. Miejmy już za sobą całą resztę.

— Reszta — wyjaśniał dalej Ewan — to pieniądze, władza i duma. Vellae władała większością Skereth, zanim Federacja Galaktyczna w ogóle jeszcze powstała. Od czasu pojawienia się lotów kosmicznych i handlu z innymi systemami, rozszerzyli swoje pole działania. Posiadają większość naszej floty handlowej i kontrolują większą część wymiany handlowej. A ponieważ statki nienależące do Federacji nie muszą się poddawać kontroli przez władze Federacji, nie muszą ograniczać swojego działania do legalnych interesów. Wiemy, że przy niektórych swoich operacjach Vellae

wykorzystują pracę niewolniczą. Wiemy, że sprowadzają nieludzi i półludzi z planet Obrzeży, co jest całkowicie sprzeczne z prawem Federacji…

Home drgnął.

— Na litość boską! A więc to wasi Vellae są tymi łowcami niewolników, których miał wyśledzić Denman!

— Denman? — spytał Ewan, marszcząc brwi.

Dom opowiedział im o niewielkim urzędniku Federacji, którego zostawili na Allamar Dwa, a który został wysłany, aby po cichu zbadać sprawę wieści o niewolnictwie wśród humanoidów. Ewan i jego ludzie słuchali go uważnie, ale nie wydawali się być tym specjalnie podekscytowani.

— Nic nam to nie da — stwierdziła Yso — jeśli ten wasz człowiek, Denman, za rok czy dwa ujawni, że to właśnie Vellae stoją za tym handlem niewolnikami. To co liczy się obecnie, to czy zdołamy zaatakować Vellae tym, co mamy.

Ewan skinął głową, godząc się z nią, i powiedział do Home'a:

— Rozumiesz, co Vellae mogą stracić, jeśli prawda o śmierci Morivenna wyjdzie na jaw? *Vega Quinn* była statkiem Federacji, pełnym personelu Federacji. Celowy sabotaż stanowiłby akt wojny, a nawet Vellae nie są w stanie pokonać całej floty Federacji. A jeśli Skereth zostanie „spacyfikowana" i włączona do Federacji Galaktycznej, Vellae będą skończeni. Ich monopol zostanie złamany, ich działania będą nadzorowane, a statki kontrolowane i poddawane rewizji. Nie będą już panami Skereth. Jak długo, twoim zdaniem, pozwolą ci rozsiewać plotki i podejrzenia wobec ich człowieka, Ardrica?

— Jest jeszcze jedna kwestia — dodała Yso. Ton jej głosu był tak poważny i pełen obaw, że aż zaskoczyło to Home'a. — Najważniejsza ze wszystkich. Mój ojciec był tego pewien. Jedynym sposobem na uratowanie Skereth, powiedział mi, a być może i innych planet, jest wprowadzenie tu prawa i władzy Federacji, zanim Vellae będą na to gotowi. Ojciec się bał. Jak mi powiedział, oni coś przygotowują, coś co zmieni naszą historię i historię całej tej części galaktyki, ale nie wiem, o co tu chodzi.

Ewan wydał z siebie zniecierpliwione prychnięcie. Najwyraźniej już wcześniej rozmawiali na ten temat.

— Osobiście, wciąż uważam, że Morivenn miał na tym punkcie obsesję — stwierdził. — Widoczne motywy działania Vellae są wystarczająco istotne, bez doszukiwania się jakichś ukrytych.

— Dobrze — odparła Yso ze złością, — wyjaśnij więc, co się dzieje z tymi wszystkimi niewolnikami, których zwożą z planet Obrzeży. Wiemy, że tutaj przylatują. Ale po dotarciu na Skereth ci ludzie znikają jak kamfora. Gdzie?

— Przyznaję, że to jest problem — zgodził się Ewan. — Po prostu nie sądzę, żeby to było aż tak ważne, jak myślał twój ojciec, i tyle. — Popatrzył na Home'a. — Czy udało się nam przekonać cię?

— Jedno mnie zastanawia — zauważył Home. — Co was tak bardzo interesuje, czy zginę, czy nie?

— Myślałam, że — odparła Yso — to jest oczywiste. Jesteś jedynym prawdziwym świadkiem przeciwko Ardricowi. Bez ciebie, nawet gdybyśmy

udowodnili, że żyje i się ukrywa, trudno byłoby go skazać — pokręciła głową. — Wszyscy chcemy tego samego, Home. Musimy współpracować, żeby to osiągnąć. Chyba lepiej będzie, jeśli będziemy to robili ręka w rękę, jako przyjaciele.

Home złapał głęboki oddech i szczerze spróbował stłumić dręczący go gniew. Dziewczyna miała rację i wiedział o tym. Więc powiedział:

— Dobrze, jak więc to zrobimy?

— Nie zrobimy, a przynajmniej nie teraz. — Człowiek, który wygłosił te słowa, był tym, który wszedł po schodach na szczyt wieży i teraz zbiegł na dół akurat w porę, aby usłyszeć pytanie Home'a. Dodał: — Nadlatują trzy latacze.

Ewan i pozostała dwójka natychmiast poderwali się na równe nogi. Jeden z nich zgasił przenośną lampę, która paliła się zapomniana w kącie, mimo że burza już minęła, a niebo na zewnątrz znów było jasne. Home i dziewczyna również wstali. Stali nieruchomo, nasłuchując i patrząc w górę. Powietrze, na chwilę schłodzone deszczem, zrobiło się z powrotem gorące, a mokre kamienie parowały.

Człowiek, który zbiegł po schodach, powiedział:

— Wygląda na to, że mają zamiar sprawdzić wieżę. Lepiej się stąd wynośmy.

Ewan podszedł do muru pod schodami i przekręcił obrotowy kamień. Za nim znajdowały się wąskie schody maskowane przez grubą przyporę muru wieży. Jeden z pozostałych ludzi zabrał lampę i pośpiesznie rozglądał się dookoła. Yso już weszła do przejścia i zaczęła schodzić, a Ewan dał Home'owi znak, żeby poszedł za nią.

— Jak duże są te latacze? — spytał Ewan, a człowiek, który był na warcie, odpowiedział:

— Dwa są jednoosobowe, a ten trzeci jest większy. Może pomieścić trzech, może czterech ludzi.

Zejście nie było głębokie. Pod nim znajdował się bardzo stary, rozlatujący się tunel, na tyle krótki, że światło z jego drugiego końca oświetlało słabo drogę na całej jego długości.

— Wychodzi w zakolu strumienia, do którego o mało co nie wpadłeś — poinformowała Home'a Yso. — Znajduje się tam spora jaskinia, w której strażnicy wieży w dawnych czasach, ukrywali swoje wierzchowce. Teraz stoją tam nasze latacze.

Home usłyszał, jak z głuchym zgrzytem zamykają się nad ich głowami kamienne odrzwia. Przez kilka minut słychać było tylko, zamknięte w tunelu oraz wzmocnione przez echa, odgłosy poruszających się i ciężko oddychających ludzi. Potem szum płynącej wody zaczął robić się coraz głośniejszy, a do niego doszedł jeszcze inny dźwięk - przenikliwy, wysoki świst. Stożkowate latacze były już tuż obok wieży.

Home spytał:

— A co, jeśli oni wiedzą o tym przejściu i o jaskini?

Ewan odpowiedział zza jego pleców:

— Wtedy będziemy walczyć.

— Czy mógłbym odzyskać teraz swój paralizator?

Ewan podał mu go, mówiąc:

— Niewiele jest wart. Nasza broń jest lepsza. Ale, czemu nie, możesz go sobie mieć.

Blask dziennego światła zrobił się jaśniejszy, i tunel skończył się długą, ukośnie płaską jaskinią, najwyraźniej utworzoną przez erozję wodną w czasach, kiedy strumień miał wyższy poziom i niósł więcej wody w swoim korycie. Kotłujący się nurt wody płynął obecnie nieco w dole, a do jego brzegu prowadziła ścieżka, którą mogły pokonać zwierzęta o mocnych, grubych pazurach. W jaskini, stojąc niewiarygodnie prosto na spiczastych spodach i wyglądając jak dwa przerośnięte bąki z błyszczącymi, okrągłymi, bąbelkowymi osłonami kabin od góry, stały dwa trzymiejscowe latacze.

Yso położyła dłoń na ramieniu Home'a i rzuciła mu polecenie:

— Chodź ze mną.

Zaczęła biec w kierunku jednego z lataczy. Ewan krótko porozmawiał z trzema pozostałymi ludźmi. Cała trójka zgodnie skinęła głowami i pobiegła do drugiego latającego stwora. Ewan dołączył do Yso oraz Home'a.

Przenikliwy świst obecnie był już bardzo głośny, natarczywy i irytujący, szarpiąc wszystkie nerwy. Home co chwila zerkał z niepokojem na długi, otwarty front jaskini, która w rzeczywistości była niczym więcej jak tylko półką wydrążoną w brzegu rzeki. Wszyscy znaleźli się już przy swoich stożkach.

Lekka drabinka wejściowa była opuszczona. Ewan wdrapał się po niej i nacisnął przycisk na brzegu stożka. Osłona uniosła się. Ewan wskoczył do środka i wychylił się, żeby pomóc Yso wejść za sobą. Home ruszył jej śladem. Stożek na swych kompensatorach antygrawitacyjnych był stabilny jak skała Gibraltarska.

W małym, okrągłym kokpicie zamocowane były trzy fotele, dwa z tyłu, za fotelem operatora, w którym zajmował już swoje miejsce Ewan. Home usiadł na tyle, z Yso. Osłona zamknęła się z klapnięciem.

Yso wydał z siebie nagły dźwięk, który był niemal, lecz nie do końca, krzykiem. Home wyjrzał przez przezroczystą plastikową bańkę.

Jeden z jednomiejscowych lataczy zagłębił się w mały wąwóz wokół strumienia i zawisł w powietrzu przed jaskinią. Home wyraźnie widział wyraz twarzy pilota, kiedy ten usiłował zajrzeć do środka.

— Zdaje się — zauważył Home, — że jednak walczymy.

Następne kilka sekund minęło tak szybko, że nie dało się ich policzyć. Ewan powiedział: „Zapnijcie pasy” i nacisnął dźwignie na płaskim pulpicie sterowniczym, przy którym siedział. Home zapiął wokół talii wyścielany pas. Stożek zadygotał i uniósł się wyżej, a jego odrzutowy silnik cicho zawył w jaskini. Yso, z zaciętą i bladą twarzą, chociaż niezbyt wystraszoną, pochyliła się nad małym panelem pomiędzy siedzeniami, szybko przełączając znajdujące się na nim przekaźniki. Stożek najwyraźniej był uzbrojony.

Home wolałby mieć większą jednostkę i znacznie więcej miejsca do manewrowania. Służył w Marynarce Wojennej Federacji w czasie ostatniej wojny granicznej. Ale trzeba było sobie radzić z tym, co się miało. Sprawdził swój paralizator, a potem go schował do kieszeni. Tutaj mu się nie przyda.

Latacz czekający na zewnątrz jaskini wystrzelił w górę i zniknął z pola widzenia. Drugi ze stożków w środku również uruchomił napęd i lekko się uniósł. Ewan do tego czasu włączył już komunikator. Rozmawiał z człowiekiem za sterami drugiego stożka…

— …się stąd wyrwać. Jak już wylecimy na zewnątrz, będziemy mogli z nimi walczyć.

— Idziemy więc jednocześnie. Potem się rozdzielamy. Silnik rozgrzany.

— Uważaj na tego dużego. Pewnie ma ciężkie uzbrojenie. No, dalej.

Dwa stożki ruszyły z pełną mocą i wystrzeliły z jaskini niczym pociski. Uderzyły ponownie ciągiem antygrawitacyjnym, tym razem od spodu, i błyskawicznie poszybowały prosto w górę, aby uniknąć zderzenia z przeciwległą ścianą wąwozu, rozlatując się następnie w przeciwnych kierunkach. To był mistrzowski lot. Ale trzeba było zrobić znacznie więcej.

Wróg był nad nimi.

Home spojrzał w górę i tuż nad sobą zobaczył spiczasty dół jednoosobowego latacza, znajdujący się niemalże na tyle blisko, by można było go dotknąć. Instynktownie skulił się, a pojazd przeciwników odsunął się na bok zaledwie mikrosekundy przed zderzeniem, które zniszczyłoby oba stożki. Yso uderzyła w klawisz ognia i strumień różowawego światła, długi na trzydzieści metrów, wystrzelił z furią w stronę uchylającego się statku wroga. Lecz w tej samej sekundzie Ewan gwałtownie zmienił ich kurs. W odpowiedzi, z małego latacza również śmignął w ich stronę promień, ale mniejszy i krótszy. Oba chybiły.

— Zepsułeś mi strzał — stwierdziła rzeczowo Yso. — To na pewno nie są statki policyjne. Nie mają oznaczeń.

— Vellae? — spytał Home. Patrzył na Yso z wyraźnym zainteresowaniem.

— Oczywiście. O co chodzi, nigdy wcześniej nie widziałeś walczącej kobiety?

— Kiedy służyłem w Marynarce Wojennej, wielu z moich najlepszych ludzi były to kobiety. Jesteś z Marynarki Wojennej?

— Siły Obrony Planetarnej Skereth. Nie jesteśmy tacy wielcy, ale znamy się na rzeczy.

— Zdejmij tego drugiego — rzucił ostro Ewan. — Tam. Dasz radę go dorwać?

Drugi jednoosobowy latacz i wielki stożek z czterema ludźmi na pokładzie, skupiły się na drugim uciekającym stożku, który akurat się do nich zbliżył. Skakały i uchylały się po całej tej części nieba, a ich bańkowate osłony migotały matowymi rozbłyskami złota i karmazynu na chmurach nad nimi.

Yso odparła:

— Utrzymuj latacz równo. Spróbuję.

ROZDZIAŁ IX

Wystrzeliła. Złowrogi, różowy promień pomknął z jakiegoś otworu w boku kadłuba. Wielki stożek odskoczył na bok, lecz promień minął go i uderzył w jednoosobową maszynę, paląc okrutnie jej kadłub. Osłony grawitacyjne uległy uszkodzeniu i statek przekręcił się na bok, a po chwili runął w dół. Lecz w tym samym czasie wielki stożek oddał dwa strzały w kadłub i osłonę drugiej z uciekających maszyn. Home usłyszał wyraźnie ich odgłos, niczym dwa trzaski potężnego bicza. Strzał w kadłub z błyskiem przemknął tuż obok celu. Ten w osłonę trafił prosto w niego. Plastik stopił się. Ludzie pod nim stanęli w płomieniach jak pochodnie. Wyglądało to na okrutną śmierć i rzeczywiście taka ona była, ale przynajmniej nastąpiła bardzo szybko. Kadłub trafionego stożka unosił się w bezwładnie powietrzu, lekko przechylony, jakby prowadzony był przez pijanego, niczym wielki kielich wypełniony płomieniami, popiołem i gorzkim dymem.

Ewan warknął coś pod nosem, a Yso odwróciła głowę w drugą stronę, wyglądając jakby ogarnęły ją mdłości. Jednak nie było czasu na żałobę. Wielki stożek skoczył prostopadle w górę i był teraz wysoko nad nimi. Mniejszy leciał pod ich nogami, niemal ocierając się o wysoką trawę.

Dłonie Ewana szybko przemykały po pulpicie sterowniczym. Home poczuł, jak coś mocno wciska go w pas, a potem w fotel, zaś kark o mało mu nie pękł, gdy stożek zakołysał się dziko, próbując wyrwać się z pułapki. Dwukrotnie zobaczył różowe błyski w powietrzu. Potem coś uderzyło ich z ogromną siłą. Wszyscy zostali rzuceni do przodu i w dół. Pas Home'a utrzymał go w fotelu, lecz jego głowa o mało nie otarła się o narożnik panelu kontroli ognia Yso gwałtownie lecąc łukiem do dołu i uderzając o kolana. Kiedy odzyskał oddech, zobaczył, że Ewan leży na panelu sterowania, a nie siedzi. Ich stożek wirował w szalonej spirali, pędząc w górę i oddalając się donikąd.

Yso wymamrotała coś w rodzaju: „Trafili nas”. Była oszołomiona, ale trzymała się kurczowo fotela, próbując odzyskać pełną świadomość. Home odpiął pas. Ruch stożka o mało nie wyrzucił go przez osłonę, ale z całej siły chwycił się oparcia fotela Ewana i podciągnął się, by złapać go za ramię.

— Czy on nie żyje? — spytała Yso.

— Nie sądzę. Uderzył się tylko mocno w głowę…

Ewan krwawił obficie z nosa. Stery były śliskie od krwi. Home odepchnął Ewana i spróbował przypomnieć sobie, która dźwignia jest która. Latał już takimi statkami, ale było to dosyć dawno temu. Pociągnął za jedną z dźwigni i to była ta właściwa, a ruch wirowy spowolnił.

— Pospiesz się — powiedziała beznamiętnie Yso. — Są tuż za nami.

To musiał być mniej śmiercionośny promień z mniejszego latacza, który musnął ich przez chwilę od dołu. Teraz ten i ten większy statek nieprzyjaciela, zbliżali się, aby ich dobić. Home powiedział:

— Zajmij ich czymś przez chwilę — i zaczął odpinać nieprzytomnego Ewana, wyciągać go z fotela pilota i samemu w nim siadać.

Yso strzelała z zimną furią desperacji, zasypując niebo różowymi promieniami. Stożki Vellae tańczyły w górę i w dół, skakały na boki, znikając z drogi i po chwili ponownie się pojawiając.

— Teraz — powiedział Home, chwytając stery — mam zamiar udać że rozbijamy się o ziemię. Przygotuj się.

— Jestem gotowa — odparła Yso.

Ich stożek zakołysał się i zaczął spadać korkociągiem w stronę ziemi. Wyglądał jakby spadał bezwładnie, ale Home kontrolował jego ruchy w tak chaotyczny i pozornie niestabilny sposób, że trudno było w niego trafić. Mały stożek Vellae pozostał w tyle. Duży podążał za Homem w dół, niecierpliwie wyczekując na czysty strzał.

Kiedy byli już jakieś sześć metrów nad ziemią, Home rzucił ostro:

— No to zaczynamy.

Ich stożek pomknął prosto w górę, z zawrotną prędkością. Home czuł, jak przeciążenie wgniata go w fotel, a powietrze wokół osłony straszliwie wyje.

— Ognia! — krzyknął. — Do diabła, ognia!

Wielki stożek był tuż nad nimi, na ich poziomie, pod nimi. Home przez ułamek sekundy widział twarze znajdujących się w nim ludzi, kiedy zrozumieli, co się stało i co miało się stać za chwilę. Potem zniknęli w rozkwicie różowego ognia, a ich pojazd szybko poleciał w dół, kurcząc się do ciemnej, smużki dymu, zaś chmury znalazły się na tyle blisko stożka Home'a, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę aby można ich dotknąć.

Home wyrównał osłony grawitacyjne. Zawrotny lot w górę stopniowo zwolnił i ustał. Zawisnęli bez ruchu pod wielkim, zakrzywionym brzuchem czerwono-złotej chmury.

Yso wykrztusiła:

— Zrobiliśmy to? Czy my jeszcze żyjemy?

Home mruknął w odpowiedzi.

— Chyba tak.

Pokręcił głową, żeby ją trochę otrząsnąć, i popatrzył w dół. Ze wszystkich trzech zniszczonych stożków, leniwie wzbijały w górę smugi dymu, z płowej trawiastej równiny, leżącej daleko w dole. Jednoosobowy latacz wycofał się w miejsce, skąd łatwo mógł uciec, jeśli będzie chciał. Miał może lżejsze uzbrojenie niż duży statek, ale był szybszy.

Komunikator zabrzęczał. Home włączył go.

Jakiś głos spytał:

— Home?

Home zesztywniał. Przeszyła go fala gorąca, a potem zrobił się zimny jak stal.

— Ardric — stwierdził w odpowiedzi.

Jednoosobowy stożek wisiał błyszcząc w oddali, pod jasnymi chmurami.

— O nie — odparł głos z komunikatora. — Ardric nie żyje. Zginął w katastrofie *Vega Queen*, a jego rodzina założyła na siebie żałobne szaty i rozpaczała.

Home zaczął go przeklinać drżącym głosem.

— Ty parszywy, tchórzu…

Nagle wyciągnął rękę i chwycił dźwignie sterów. Jego stożek pomknął w stronę unoszącego się w pobliżu latacza.

Latacz z drwiącą łatwością wymknął się przed pościgiem i usłyszał w odpowiedzi śmiech Ardrica.

— Musisz spróbować jeszcze raz, Home — powiedział Adric.

Home'a ogarnęła jakaś ślepota, tak że widział tylko mały stożek z lśniącą czaszą i nic poza nim. Pochylił się nad sterami i spróbował ponownie.

Mały stożek uskakiwał, śmigał i wirował, szybki niczym promyk słońca, a on go ścigał, lecz po prostu był rozpaczliwie zbyt wolny, irytująco ciężki większymi rozmiarami i uzbrojeniem swojego statku. Ale nie miał zamiaru się poddać.

Yso wyciągnęła rękę i wyłączyła komunikator. Mówiła coś do niego, lecz on nie niczego nie słyszał. W ciasnym kącie podłogi kokpitu Ewan poruszył się, jęknął i podniósł się na czworaka.

Home ledwie ich słyszał. Powiedział do Yso:

— Przygotuj się… Dopadnę go przy następnym przelocie.

Dopadnę go, huczało mu w myślach. Strącę go z nieba.

Zaczął ustawiać dźwignie sterów, aby wykonać kolejny przelot, i dopiero Ewan odtrącił mu ręce na bok i próbował zepchnąć go z fotela pilota. Ewan jakimś niezrozumiałym dla Home'a cudem mógł rozmawiać z Yso i słyszał ją lepiej niż on.

— Zwariowałeś, Home? On się tylko tobą bawi, czekając na przybycie kolejnych ludzi. Musimy…

Home odepchnął go.

— Zostaw mnie w spokoju. Zabiję go.

Ewan zaklął. Uderzył Home'a w głowę. Cios zabolał Home'a, ale nie oszołomił go ani też nie przywrócił mu przytomności umysłu. Sprawił jedynie, że odwrócił się i odrzucił Ewana do tyłu przez kokpit, z taką samą bezosobową złością, z jaką zareagowałby na osę lub pszczołę. Potem wrócił do „sprawy Ardrica".

Yso krzyknęła na niego, szarpiąc go za ramię.

— Popatrz tam na północ, Home! Tam, tam!

Była tak natarczywa i piskliwa, że na sekundę oderwał wzrok od latacza Ardrica. I na północy zobaczył szybko nadlatującą grupę pięciu stożków.

Home wzdrygnął się i otarł twarz dłońmi, jak człowiek budzący się ze snu.

Rzucił się lataczem do błyskawicznej ucieczki.

Komunikator wydał sygnał i ponownie go włączył. Głos Ardrica powiedział:

— Ucieczka nic ci nie da, Home. Mamy najlepsze latacze na Skereth. Ale przypuszczam, że i tak nie ułatwisz nam tej sprawy.

Home nie odpowiedział. Zabrakło mu słów w głowie. Wyłączył komunikator. Stożek pomknął po mosiężnym niebie, ponad żółtobrązową równiną.

Ewan usiadł, trzymając się za zranioną twarz.

— Kieruj się na wschód, jeśli tylko to możliwe — powiedział. — Tam są góry. Może uda nam się ich zgubić.

Home skierował się na wschód. Silnik odrzutowy ryczał na pełnym gazie, lecz stożki Vellae powoli, ale systematycznie zbliżały się do nich. W tej chwili nic nie zależało od umiejętności pilota. To była tylko prosta i fundamentalna kwestia przewagi sprzętowej.

Gęste cienie na wschodnim horyzoncie wyrastały coraz wyżej i gęściej, aż przekształciły się w pasmo górskie.

Home zmierzył odległość do gór, a potem przez chwilę obserwował stożki Vellae, szacując tempo, w jakim ich doganiają. Wykonał kilka rachunków w pamięci i nie spodobały mu się ich wyniki.

— Nie damy rady, co? — powiedziała Yso.

Home pokręcił głową.

— Nie wygląda to zbyt dobrze. Gdybyśmy tylko znaleźli gdzieś jakąś burzę albo chociaż niską chmurę, w której moglibyśmy się ukryć.

Lecz burze były za daleko od nich, a chmury za wysoko dla nisko latających stożków pozbawionych kabin ciśnieniowych.

Ewan powiedział:

— Wpuść mnie tam.

Home oddał mu stery bez sprzeciwu. To był latacz Ewana. Może on zdoła wyciągnąć z niego coś więcej.

I zdołał coś więcej wyciągnąć. Wycisnął z pojazdu odrobinę dodatkowej szybkości. Góry pędziły w ich stronę nieco żwawiej. Stożki Vellae nadal ich doganiały, ale już nie tak szybko jak przedtem.

Teraz można było już dostrzec niżej położone chmury wiszące nad grzbietami gór.

— Gdybym tylko zdołał się w którąś wcisnąć — powiedział Ewan. — Spróbuję wylądować w dolinie gdzieś za jednym z grzbietów i mam nadzieję, że przelecą nad nami.

— Czy nie byłoby lepiej… — zaczęła Yso, lecz Ewan jej przerwał.

— Prawie kończy nam się paliwo. Tak więc, nie daje nam to zbyt wielkiego wyboru.

Minutę później powiedział:

— Wypatrujcie szczytów górskich. No to zaczynamy.

Stożek wpadł w masę chmur i cały świat zniknął za gęstą, ciemną mgłą.

Niemal natychmiast Ewan zwolnił prędkość ku przodowi i odbił ostro w bok. Home i dziewczyna siedzieli w napięciu, wytężając wzrok w poszukiwaniu jakichś wyraźniejszych cieni we mgle. Stożki Vellae zniknęły wraz ze wszystkim innym. Ewan manewrował lataczem przelatując przez szeroką szczerbę, ograniczoną z obu stron niewidocznymi górskimi

szczytami, i przemknął nad grzbietem przełęczy. Potem zaczął spadać z niebezpieczną szybkością, szukając jakiegoś miejsca do lądowania.

Nie było widać żadnego.

W miejscach, w których rozciągająca się dokoła masa chmur przerzedzała się, widać było tylko strome ściany skalne i ostre granie, osuwiska skalne i przepaście, które zdawały się nie mieć dna. W tej niegościnnej górskiej krainie nie było nawet żadnych drzew.

Silnik zakaszlał dwa razy i zamilkł.

Pęd poniósł ich trochę dalej, unoszących się teraz wyłącznie na antygrawitacji i bezsilnie smaganych każdym podmuchem wiatru, powiewającym ostro przez przełęcze i wokół górskich zboczy.

Home stwierdził:

— Równie dobrze możemy zejść na dół sami, jak zostać tam strąceni.

— Tak czy inaczej — powiedział Ewan, — nie spodoba się nam to.

Stożek opadał, chwiejnie schodząc coraz niżej wzdłuż dolnych partii zboczy, jak swobodnie unosząca się w powietrzu bańka, podczas gdy wiatr próbował go wywrócić i roztrzaskać o skały.

Home rzucił nagle:

— Mam pomysł.

Szybko im go przedstawił. Ewan mruknął:

— Szanse jeden do stu. Ale równie dobrze możemy zaryzykować.

Chmury wciąż były gęste i wisiały nisko nad głowami, a po stożkach Vellae nie było jeszcze śladu.

— Czy możesz sprowadzić go tam? — spytał Home Ewana, wskazując na półkę skalną w połowie wysokości stromej skalnej ściany. Półka była lekko nachylona, a z jej dolnego końca schodziła pod kątem w dół, długa pełna gruzu szczelina, prowadząca do mniej stromej części zbocza góry. Wyglądało na to, że półka może zapewnić zarówno możliwość lądowania, jak i drogę w dół.

Ewan stwierdził kwaśno:

— Oczywiście, lądowanie tam bez silników, nie będzie łatwe.

Zaczął przerzucać kontrolki osłon grawitacyjnych, przechylając stożek tak, aby jego własna równowaga przyciągania i odpychania zbliżała go coraz bardziej do półki.

Home zdjął koszulę i ułożył ją na oparciu siedzenia, tak aby z daleka wyglądało, jakby ktoś tam nadal siedział.

— Ty też, Yso — powiedział.

Obrzuciła go wzrokiem, a on krzyknął:

— Wolisz zachować skromność czy życie?

Odwracając się od niego, zdjęła koszulkę i naciągnęła ją na oparcie. Potem usiadła skulona, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

Home miał inne rzeczy na głowie. Pomógł Ewanowi zdjąć koszulkę, jeden rękaw po drugim, podczas gdy stożek miotał się, to wznosił się to zsuwał, w stronę półki.

— No dobrze — stwierdził — to może ich zmylić, jeśli nie podejdą za blisko.

Półka pomknęła w ich stronę, szaleńczo przechylona.

— Bądźcie gotowi do wyskoczenia — powiedział Ewan — jak tylko dotkniemy ziemi.

Home położył dłoń na dźwigni zwalniającej czaszę.

Stożek zazgrzytał twardo po półce, uderzając z hukiem o ścianę klifu. Home gwałtownie otworzył osłonę. Praktycznie wyrzucił Yso z kabiny. Stożek przewrócił się, zachwiał i zaczął się unosić. Ewan wyskoczył z niego i wylądował na czworakach. Krzyknął coś do Home'a. Home zobaczył, że półka oddala się od niego i rzucił się w powietrze jak szalony. Wylądował na skale o wiele za blisko krawędzi, aby czuć się komfortowo. Ewan złapał go i wciągnął dalej na półkę. Zdyszani przycupnęli razem na skale, i obserwowali, jak stożek unosi się coraz dalej, miotany i szarpany przez wiatr. Kiedy znalazł się w odległości skutecznego strzału, trudno było stwierdzić, że trzy jaskrawe koszule prześwitujące przez korony drzew nie są noszone przez ludzi.

— No, dobrze — oznajmił Home. — Znajdźmy jakieś schronienie.

Przemknęli wzdłuż skalnej półki i zeszli do szczeliny, która była znacznie większa, niż wyglądała z daleka, i pełna wielkich głazów. Wpełzli jak trzy tropione zwierzęta w szczeliny między głazami i leżeli tam, obserwując.

Ich porzucony stożek odpływał coraz dalej i dalej. W pewnej chwili zza chmur wyłonił się jeden ze stożków Vellae i zauważył go. Najwyraźniej ludzie Ardrica rozdzielili się, aby prowadzić poszukiwania. Stożek Vellae przeleciał nad wrakiem i już za pierwszym razem trafił go swoją wiązką prosto w kadłub. Ich latacz stanął w płomieniach i zaczął spiralnie spadać na ziemię. Stożek Vellae trafił w niego ponownie, w drodze w dół, aby upewnić się co do wyniku ataku. Ich statek rozbił się, gdzieś poza zasięgiem wzroku, w labiryncie wąskich, skalistych wąwozów. Stożek Vellae wzbił się nieco wyżej i zawisł w powietrzu.

Wkrótce dołączyła do niego reszta ekipy. Obserwowali przez chwilę miejsce upadku, aż rozwiała się ostatnia cienka smużka dymu. Potem wzbili się i pospiesznie pomknęli ponad przełęczą w stronę Rillah.

Ewan oznajmił stanowczo:

— Udało się.

Home popatrzył z goryczą za Ardricem i mruknął:

— Pewnego dnia, niech mi Bóg dopomoże…

Potem dwaj mężczyźni i dziewczyna wyczołgali się spod skał i rozpoczęli długą i niebezpieczną drogę na dół, ku temu wszystkiemu co ich tam czekało.

Według ziemskich rachunków, zejście zajęłoby im około półtora dnia. Lecz ponieważ to było Skereth, niebo dopiero płonęło wściekłymi barwami zachodzącego słońca, kiedy stanęli nad ostatnim zboczem i spojrzeli na najbardziej zapomnianą przez Boga krainę, jaką Home kiedykolwiek widział na jakiejkolwiek planecie.

Czerwone, fioletowe i żółte niebo nad czerwonymi, żółtymi, brązowymi, fioletowymi i piaskowymi skałami. Skały te były tak mocno powycinane, pożłobione i wygładzone wiatrem, jakby chciały naśladować wiszące nad nimi chmury burzowe, a następnie zmrożone lodowatym spojrzeniem Gorgony, w wieczny koszmar.

Nie było innego wyjścia, tylko iść dalej. Pragnienie i głód były teraz dla nich najważniejsze. W niektórych z tych szalonych szczelin mogła znaleźć się woda, a tam, gdzie jest woda, mogło być też i jedzenie.

Szli więc dalej, potykając się i zataczając, podczas gdy jaskrawe barwy na niebie ściemniały i zgasły, a następnie przygasły również i na skałach w dole, i stopniowo wszystko zaczęło zatapiać się łagodnie i pięknie w długim, bardzo długim zmierzchu.

Nie znaleźli wody. Znaleźli za to serpentynową szczelinę z drobnym, suchym piaskiem na dnie i podążyli jej piaszczystym łożem, częściowo dlatego, że tędy było im łatwiej maszerować, a częściowo dlatego, że nie mieli już jasnego pojęcia, co robią.

Ich instynkt i automatyczna reakcja wciąż jednak działały. Home nagle zatrzymał się, sięgając po swój paralizator. Był dziwnie ciężki w jego dłoni i z trudem go trzymał. Yso również zatrzymała się i uklękła, a Ewan potknął się o nią.

— Cicho — mruknął Home. — Słuchajcie.

W półmroku, na pustej skale, gdzieś w ich pobliżu coś się poruszyło, lecz nie przypominało to ruchów człowieka.

ROZDZIAŁ X

To był szybki i ukradkowy dźwięk, jakby jakieś stworzenie czmychnęło z pola widzenia, aby zaczaić się za kolejnym zakrętem szczeliny. Home gwałtownie otrząsnął głowę, aby pozbyć się mgiełki senności.

Ewan wyciągnął pistolet. Była to o wiele potężniejsza broń niż paralizator Home'a, który, jak przypuszczał, i tak był już prawie rozładowany.

— Zostań tu z Yso — powiedział do Ewana. — Spróbuję się zorientować, co to jest.

Ruszył do przodu, krok po kroku. Był bardzo zmęczony i czuł dziwną niechęć do jakiejkolwiek dalszej walki. Miał ochotę wyłącznie położyć się tutaj i spokojnie umrzeć albo zasnąć, było mu kompletnie wszystko jedno co, byleby tylko dało mu to odpoczynek. Szedł jednak dalej w stronę ciemnego filaru skały, powłócząc nogami.

Przemówił do niego głos. Był to bardzo dziwny, skrzypiący, zardzewiały głos z przeciągłymi głoskami syczącymi i sprawiający ogólne wrażenie, że ludzka mowa stanowiła dla niego poważne wyzwanie.

— Nie ssstrzelaj — powiedział głos. — Proszszszę. Jessstem przyjacielem.

Home zatrzymał się, po plecach przebiegł mu dreszcz.

— Przyjacielem, mówisz? — oznajmił szorstko. — To dlaczego się ukrywasz?

— Ludzie ssstrzelają — odparł głos. — Za szszszybko. Mam dla wasss jedzenie i wodę. Proszszszę?

Home zaśmiał się.

— Masz jedzenie i wodę, co? Dla nas. To świetnie. Ale to trochę głupie kłamstwo. Nie mogłeś nic o nas wiedzieć.

Głos powiedział:

— Fife ma radio. Sssłyszał rozmowy Vellae.

— Fife?

— Naszszsz przywódca.

— Ale Vellae myśleli, że nie żyjemy.

— Byliśśśmy bliżej wraku niż oni. Nie było w nim ciał. Fife powiedział, że uciekliśśście. Szszszukaliśmy wasss przez cały ten czasss.

— Kim jesteś? — spytał Home.

— Jessstem Chell z Chorann.

Home przypominał sobie Chorann. Była to jedna z najodleglejszych planet Obrzeży, jeszcze nawet poza Allamar, daleko na skraju galaktyki. Stanął na niej tylko raz, na statku wiozącym maszyny do kopalni, która tam powstała. Teren kopalni był niczym innym, jak maleńką polanką, otoczoną przez rozległe, wysokie, groteskowe lasy tej planety.

Inżynierowie w kopalni mówili o jakiejś tajemniczej formie życia, która żyła w tych ogromnych lasach, trzymając się na dystans, nigdy nie okazując oznak przyjaźni, widywana jedynie jako przemykające cienie. Te wszystkie wspomnienia nie wypełniły Home'a zbyt wielkim przypływem zaufania do niewidzialnej istoty, która nazywała siebie Chell.

Powiedział:

— Tak, ale z kim jesteś? Kto wchodzi w skład twojej grupy? Powiedziałeś „my”.

Chell odpowiedział spokojnie:

— Należymy do tych nielicznych, którzy uciekli z niewolniczych zagród Vellae.

Yso złapała głęboki oddech i wstała. Podeszła bliżej.

— Powiedz mu, żeby podszedł, Home. Chcę z nim porozmawiać.

— Nie ssstrzelać? — spytał Chell.

— Nie, chyba że zrobisz coś, czego nie powinieneś — odparł Home.

Rozległ się cichy dźwięk, tym razem głośniejszy i mniej ukradkowy, ale wciąż w jakiś sposób nieludzki. Zza skały powoli wyłonił się dziwny cień, nabierając materialnego charakteru i trwałości, w mroku zmierzchu.

— Widziszszsz? — spytał Chell bez urazy. — Dla nasss z Chorann bezpieczniej jessst najpierw sssię odezwać.

Home zrozumiał to bardzo dobrze. Prawdopodobnie zrobiłby dokładnie to, czego obawiał się Chell - najpierw zaczął strzelać, a potem zastanawiać się, co takiego u diabła zabił. Stwór był okrągły jak balon, o rozmytych konturach sugerujących futro lub gęstą szczecinę. Był przerażająco duży, miał co najmniej metr średnicy. Zdawał się częściowo unosić w powietrzu, a częściowo chodzić na czterech lub pięciu długich mackach, które wyrastały z jego dolnej półkuli. Piąta zwinęła się w kłębek, trzymając jakiś tobołek. Nie miał głowy, widocznych oczu, twarzy. Była to tylko wielka, okrągła, futrzana kula, która mówiła.

Ewanowi wyrwało się coś, co brzmiało jak:

— A niech mnie diabli wezmą.

Yso cofnęła się nieco za ramię Home’a, ale po chwili odparła stanowczo:

— Cieszymy się, że cię poznaliśmy, Chell. Od dawna wiemy, że Vellae sprowadzają niewolników z innych planet, ale jesteś pierwszą uprowadzoną przez nich istotą, z którą rozmawialiśmy. Czy wielu z was uciekło i ukrywa się tutaj?

— Zobaczyszszsz — Chell położył tobołek na ziemi i taktownie cofnął się o krok. — Napijcie się i zjedzcie, a ja zawołam innych. Potem zabierzemy wasss do Fife’a.

Ewan spytał podejrzliwie:

— Jakich innych?

— Poszszszukiwaczy, takich jak ja. — Z nutą zniecierpliwienia Chell dodał jeszcze: — Gdybyśśśmy chcieli zrobić wam krzywdę, po prossstu byśśśmy was nie szszszukali. Myśśślę, że wszyssscy byśśście umarli jeszszszcze przed nassstępnym śśświtem. Ta droga, którą podążaliśśście, prowadzi na tereny zupełnie pozbawione wody.

Home wzruszył ramionami.

— Chyba ma to sens. W porządku, Chell, ufamy ci.

Home podniósł tobołek i otworzył go. Były tam dwa duże plastikowe termosy z wodą i trochę wędzonego mięsa, którego Home nie potrafił zidentyfikować i szczerze mówiąc nie miał na to szczególnej ochoty. Nie był w nastroju, aby pytać o cokolwiek, w temacie jedzenia. Jedli i pili, a Home jednym okiem obserwował Chella, który odszedł trochę dalej i najwyraźniej nic nie robił.

— Myślałem, że wezwiesz swoich przyjaciół — powiedział.

— Wzywam ich. Naszszsze normalne głosssy sssą za wysssokie dla waszszszych uszszszu. Dlatego to brzmi tak dziwnie, kiedy do wasss mówimy.

Yso zauważyła:

— Szkoda, że nie wiedzieliśmy o was wcześniej. Wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Morivenn nie musiałby zginąć, Vellae mogli zostać całkowicie zniszczeni. Mówiłeś, że wasz przywódca ma radio. Nie mogliście się z nami jakoś skontaktować?

Jej głos zabrzmiał niemal histerycznie. „Odreagowanie", pomyślał Home. „Zbyt dużo nerwów i przemocy, zbyt wiele wstrząsów, a potem godziny fizycznego wyczerpania."

Chell powiedział tylko:

— Pamiętajcie, że wiemy bardzo mało o waszszszej planecie. Fife usssłyszał z rozmów Vellae, że jesssteście ich wrogami i że dla nich jessst ważne, abyśśście wszyssscy zginęli. Więc chcieliśśśmy temu zapobiec. Gdyby to sssię jednak nie udało…

Home wyczuł w tym momencie wzruszenie ramion, nie fizycznie, oczywiście, to było niemożliwe, lecz sugerowane.

— Gdyby to sssię jednak nie udało — mówił dalej Chell, — pamiętajcie, że dla nasss wszyssscy mieszszszkańcy Ssskereth sssą wrogami.

Dwie kolejne okrągłe, cieniste postacie przemknęły nad krawędzią skał na tle nieba i z osobliwym, półpłynnym ślizgiem spłynęły w dół.

— Gotowi? — spytał uprzejmie Chell. — To ruszamy.

Ruszył w stronę ludzi, a pozostałe dwie okrągłe, futrzaste postacie podążyły za nim.

— Zaraz, zaczekaj chwileczkę — rzucił Ewan, cofając się odrobinę. — Ruszamy - w jaki sposób?

— Poniesssiemy wasss. Będzie znacznie łatwiej niż pieszszszo, zwłaszszszcza w nocy. Nie bój sssię. Chorann to cięższszsza planeta niż ta. Ciężary sssą tu dla nasss lekkie. Dlatego Vellae uważają nasss za tak użytecznych.

Home poczuł, jak macki niczym potężne stalowe kable, oplatają go dookoła. Potem stworzenie – nie był pewien, czy to Chell, czy któreś z pozostałych – nadęło się jeszcze bardziej, niczym balon, i uniosło w górę, przytrzymując go ostrożnie przy grubym, ciepłym futrze i pomagając sobie wolną parą macek rozpostartych, by chwytać się wystających punktów skalnych.

— Jesteśśśmy w ssstanie — powiedział Chell — pobierać czysssty wodór z powietrza, tak jak morssskie ssstworzenia pobierają tlen z wody.

Fizycznie naszszsze ciała to głównie worek powietrzny. Więc nie bój sssię, że ssspadnieszszsz.

Home zrezygnował kompletnie z jakiegokolwiek oporu i nie bał się niczego. Wydawało się, że jedyne, co mógł teraz zrobić, to poddać się spokojnie temu, co się działo. Futro, do którego był tak mocno przyciśnięty, było niesamowicie miękkie i miało suchy, lekko zakurzony, wcale nie nieprzyjemny zapach. Ciało pod tym futrem było dziwnie pozbawione kości i sprężyste. Bardzo słabo, jakby gdzieś z głębi, słyszał odgłosy życiowe - rytmiczne bicie serca, wdechy i wydechy. Podróżowali szybko, prześlizgując się po ciemnych skałach w ciemnościach bezgwiezdnej nocy, przez suche, kręte wąwozy i ponure równiny jałowych ziem, niczym pływacy pod wodą. Po pewnym czasie dostrzegł plamkę światła.

Ruszyli w jej kierunku, a ona zmieniła się w blask ukrytej latarni, celowo pozostawionej dla uważnego przewodnika. Home przelotnie dojrzał błysk wąskiego strumienia i wyczuł w powietrzu jego wilgotny zapach. Potem stanął na nogach w rzadkiej trawie. Latarnia znajdowała się tuż przed nim, w pomieszczeniu za wąskimi, kamiennymi drzwiami.

Przed drzwiami stała jakaś postać, ostra, czarna sylwetka, widoczna na tle jasnego światła.

— To Fife — oznajmił Chell. — Jego też trudno byłoby nazwać człowiekiem.

Fife dodał:

— Żaden z nas tutaj nie jest człowiekiem. — Jego głos był wysoki i piskliwy, z wyczuwalną chytrą, drwiącą nutą. — Ale wszyscy wyglądamy na tyle dziwnie, że nie będziecie się tu czuli nieswojo. Wejdźcie.

Weszli. Home i Ewan musieli schylić się, przechodząc przez drzwi, podążając za nim do dużej komory wydrążonej w miękkim, czerwonym piaskowcu. Latarnia, zasilana przenośną baterią atomową, stała na podłodze pośrodku pomieszczenia. Fife podniósł ją i powiesił na haku na suficie, a Chell, który wszedł ostatni, zasunął zasłonę na drzwiach.

— Vellae nieczęsto tędy przelatują — wyjaśnił Fife — ale warto być ostrożnym.

Odwrócił się i przyjrzał się im. Home próbował odgadnąć, z jakiej planety pochodził, ale nie potrafił. Fife był niski i szczupły, miał może półtora metra wzrostu, był całkowicie pozbawiony włosów, a jego szara skóra dosyć efektownie poznaczona była odcieniami elektryzującego błękitu, poprzecinanymi na piersiach, plecach i wzdłuż kończyn, cienkimi czarnymi i żółtymi liniami. Jego oczy również były żółte, miały same tęczówki, bardzo jasne i zupełnie nieczytelne dla człowieka.

— Oto reszta z nas — oznajmił, wskazując szczupłą, czteropalczastą dłonią. — Jak widzicie, niewielu ucieka Vellae.

Dom popatrzył za niego, w blask latarni. W kamiennej komnacie znajdowało się może ze dwudziestu czterech ludzi, tyle że „ludzie” było to złe określenie. Była to najbardziej zróżnicowana gromada istot, jaką Home kiedykolwiek widział na oczy.

Jego wzrok padł najpierw na dwie postacie z tej grupy, podobne do tych, jakie widział niedawno - dwie włochate istoty o wielkich oczach, mające dziewięć stóp wzrostu i łagodne, przygnębione twarze.

— Jesteście z Allamar — powiedział Home, korzystając z kilku znanych mu słów w ich własnym języku, a oni rozjaśnili się niczym duże psy, które się zgubiły i usłyszały znajomy głos.

— Tak — zagrzmiał jeden z nich. — Z Allamar. Jestem Lurgh.

Z pozostałych, troje, kobieta i dwóch mężczyzn, było pod względem wielkości i kształtów humanoidalne. Wyróżniały ich jedynie niewiarygodnie długie, spiczaste uszy i wystające zęby, a także szczątkowy wałek futra wzdłuż kręgosłupa. Potem byli rodacy Chella - w tej chwili znacznie mniejsi, stłoczeni blisko siebie w kącie, ich futro w świetle lampy lśniło jaskrawą zielenią, zaś macki jaskrawoczerwonym kolorem. Jak ozdoby choinkowe, pomyślał histerycznie Home, ale natychmiast wziął się w garść.

W skład oczekującej gromady wchodziły także wielkie, przypominające gargulce stworzenia, o matowo-fioletowej barwie, z ogromnymi, zakończonymi pazurami dłońmi i absurdalnie małymi skrzydełkami. Znajdowały się tam też pajęcze stworzenia o małych ciałach i zbyt wielu długich, cienkich ramionach, doskonale przystosowane do wspinaczki po skalistych powierzchniach, jak pomyślał sobie Home. Kręciło mu się już w głowie od natłoku i niezwykłości zgromadzonych tu istot. Byli wśród nich naprawdę dziwni osobnicy, wyjątkowi, wspólnie tworzący kolekcję niemal wszystkich rozmiarów, kształtów i mutacji ludzi, zwierząt oraz owadów, jakie tylko można było sobie wyobrazić. Na swój sposób, byliby w stanie zrobić wszystko, będąc zdolnymi do wykonania każdej konkretnej funkcji, z najwyższą precyzją.

Słyszał, jak Ewan za jego plecami zaklął pod nosem i powiedział:

— Łowcy niewolników z Vellae nie próżnowali, to prawda.

— Nie próżnowali — potwierdził Fife — a my jesteśmy tylko częścią dowodu na to. Teraz jednak jesteśmy ciekawi. Dlaczego Vellae tak bardzo chcieli was zabić?

Wyjaśnili to, Ewan i Yso mówili na zmianę, przez cały czas boleśnie świadomi licznych oczu, które ich obserwowały, i drżąc z przerażenia, że w tych obserwujących ich oczach nie ma śladu bardziej przyjaznych uczuć. Home zrozumiał, że dla tych stworzeń wszyscy ludzie muszą obecnie wydawać się wrogami. Uświadomił sobie, bez jakiegoś wielkiego wstrząsu, że zostali tu sprowadzeni na próbę i prawdopodobnie zostaną zabici, jeśli ich historia się nie potwierdzi.

Rzucił to w oczy Fife'owi, a żółtooki człekokształtny kiwnął głową.

— Pomyślałem, że możecie nam się przydać. Uciekliśmy z niewolniczych zagród, ale chcemy iść dalej. Chcemy wrócić do domu. Jeśli to możliwe, chcemy uwolnić tych, którzy są przetrzymywani za zamkniętymi bramami Wielkiego Projektu. A szczególnie chcielibyśmy zabić jak najwięcej Vellae.

W jego oczach płonęła mrożąca krew w żyłach, absolutnie ludzka nienawiść.

— W każdym bądź razie nie możemy się tu ukrywać przez wieczność, skuleni w tej norze, na wpół zagłodzeni, nieustannie wypatrując na niebie lataczy Vellae. Zginiemy, jeśli będzie trzeba, lecz chcemy, aby to miało jakiś cel, żeby było to coś, czego Vellae nie zapomną.

Po sali rozległ się cichy pomruk zgody.

Fife popatrzył na trójkę ludzi.

— Jesteście z ich własnej rasy, a jednak was ścigali. Więc na razie żyjecie, bo potrzebujemy czegoś, czego nie mamy - broni, informacji, wszystkiego, co pomoże nam zaplanować nasze działania. Jeśli nie możecie nam tego dać… — wzruszył wymownie ramionami.

— Posłuchaj — powiedział Home. — Wycierpieliśmy z powodu Vellae równie wiele, co wy. Jej ojciec, mój statek i cała moja kariera, a ponadto wszyscy troje jesteśmy zbiegami, tak jak wy.

Fife odparł:

— Słucham z uwagą. Nie jestem twoim wrogiem - na razie. Jestem ani tym, ani tamtym. My mamy swój cel. Tak samo i wy. Zobaczmy, jak będą się one ze sobą zgadzały.

Ewan rzucił gniewnie:

— Do diabła, Morivenn pracował latami i w końcu oddał życie walcząc z Vellae, głównie z waszego powodu. Jego córka i ja…

Fife zauważył:

— W tunelach pod Skereth niewiele słyszeliśmy o Morivennie i o tobie. — Zwrócił się do Home'a. — Twoja historia mnie interesuje. Mówisz, że nie jesteś ze Skereth?

— Nie — odparł Home — i tak jak ty wolałbym o niej nigdy nie słyszeć. Jestem z Ziemi, pilotem kosmicznym w służbie rządu Federacji.

Mówił dalej, wyjaśniając po raz drugi, co mu się przydarzyło, jak i dlaczego przybył na Skereth.

— Ci ludzie — powiedział, wskazując na Yso i Ewana — włożyli wiele wysiłku, żeby uchronić mnie przed przedwczesną śmiercią. Stracili trzech przyjaciół i sami omal nie zginęli. Ja jestem trochę jak ty, Fife, interesuję się tylko własnymi sprawami, ale nie jestem aż tak głupi, żeby pozbywać się cennych sojuszników. Oni chcą obalić Vellae z powodów politycznych. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas miał się z nimi o to spierać. Chcę dopaść jednego z przywódców Vellae, Ardrica, żebym mógł udowodnić, że to on spowodował katastrofę mojego statku. Wy chcecie zemsty i wolności. Może być. Wszyscy ze sobą mogą współpracować.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, sprawdzając, czy jego słowa trafiają do nich, lecz stłoczony krąg obcych twarzy zupełnie zbił go z tropu. Nie potrafił powiedzieć, co oni myślą. Zaś Fife odpowiedział tylko:

— Jestem otwarty na propozycje. Mów dalej.

— Ardric jest kluczem do wszystkiego. Jeśli uda nam się go dopaść i zmusić do mówienia, wszystko inne pójdzie już dalej samo. Federacja będzie mogła legalnie wkroczyć tutaj i zniszczyć Vellae. Niewolnicy nielegalnie przywiezieni na tę planetę zostaną uwolnieni i zabrani do domu. Moje imię zostanie oczyszczone, a ekipa Morivenna będzie mogła wprowadzić Skereth do Federacji jako wolną planetę, a nie prywatną własność Vellae.

Fife powoli skinął głową.

— A jak mielibyśmy to zrobić?

— Wiemy, że Ardric jest w Rillah. Musielibyśmy się tam przedostać i go schwytać.

— Jak?

— I w tym punkcie — stwierdził Home — pomyślałem, że to ty mógłbyś podsunąć jakieś pomysły.

— Usiądźmy — zaproponował Fife — i omówmy tę sprawę.

Usiedli na nagim, chłodnym piaskowcu, a cały krąg dziwnych, nieludzkich postaci podszedł bliżej, żeby słyszeć ich rozmowę. Home usiadł obok Yso i trzymał dłoń na jej dłoni. Ewan pilnował jej z drugiej strony.

Ale to Yso powiedziała:

— W Rillah są wejścia do podziemi. Po ich pokonaniu, można się znaleźć po tej stronie gór. Tunele muszą więc ciągnąć się przez całą tę drogę. Mam rację?

— Tak — potwierdziła humanoidalna kobieta ze spiczastymi uszami, odzywając się po raz pierwszy. Miała na sobie, niepasujący do strojów reszty zebranych, wspaniały ubiór z tkaniny o metalicznym hafcie, bardzo skąpo zakrywający jej piękne piersi ssaka i biegnący wąskim paskiem wzdłuż przodu jej ciała, stanowiący uzupełnienie dla czegoś w rodzaju draperii z niebieskiego jedwabiu, zwisającej luźno wokół bioder na kilku dużych złotych pierścieniach. Jeśli ktoś nie patrzył wyżej niż na jej szyję i nie przeszkadzała mu sierść, była absolutnie wspaniała. I spoglądała z typowym dla kobiety zainteresowaniem na brudną, obdartą i półnagą Yso.

— Nie sądzisz — powiedziała do Fife'a — że ci ludzie mogą być szpiegami, a cała ta popisowa akcja Vellae, z zestrzeleniem ich stożka, była tylko pokazem specjalnie na nasze potrzeby?

ROZDZIAŁ XI

Fife błysnął brzegami swych ostrych ząbków, pokazując je w czymś, co można by nazwać uśmiechem.

— Rozważałem taką możliwość, Meeva — odparł — i doszedłem do wniosku, że szanse na to są nikłe. Szczerze mówiąc, wątpię, czy Vellae zadaliby sobie aż tyle trudu, tylko dla nas. Nie jesteśmy aż tacy ważni.

— Mimo to — oznajmił jeden z fioletowych gargulców, powoli składając słowa w Universalu i mówiąc głosem brzmiącym, jakby dochodził z odległości trzech mil spod ziemi — Meeva może mieć rację. Nie jesteśmy dobrymi sędziami co do sposobu, w jaki myślą ci ludzie.

Fife skinął głową.

— Zgadza się. Absolutnie słusznie.

— I — dodała Meeva, a jej spiczaste uszy drżały ze złości i podniecenia — popatrz tylko, jak szybko ci ludzie przedstawili swój plan. „Tunele muszą ciągnąć się przez całą drogę". O tak! A teraz mamy ruszyć biegiem do samego Rillah. Jak? Przez tunele!

Zerwała się na równe nogi, przemawiając z pasją do całej grupy.

— Czego Vellae nie pragnęliby bardziej, niż naszego powrotu do tych tuneli? Powrotu do zagród dla niewolników i mrocznych galerii Projektu?

Kilku obcych odpowiedziało:

— To prawda. — I popatrzyli złowrogo na ludzi swoimi dziwnymi oczyma.

Meeva dramatycznie uderzyła się w pierś.

— Ja tam nie wrócę. Wolę zostać tutaj i umrzeć na wolnej przestrzeni, niż spędzić choćby jeszcze jeden dzień w tunelach. I wolę zabić się tu i teraz, niż zaufać słowu człowieka!

Posiadała magnetyczną osobowość. Home uważał jej przemowę za dosyć banalną, lecz skuteczną. Przynajmniej bardzo skuteczną dla tych konkretnych słuchaczy. Zaczął się jej obawiać.

Wstał.

— Nie musisz mi wierzyć na słowo — oznajmił — i nie musisz nigdzie chodzić. Wystarczy, że pokażesz nam, gdzie są te tunele, a my pójdziemy sami.

— Ach — krzyknęła Meeva, odwracając się do niego — tak - wtedy moglibyście sprowadzić tu Vellae i pozabijać nas wszystkich!

— Och, do diabła — stwierdził Home z obrzydzeniem — kobiety są kobietami bez względu jaką mają postać, jak mi się wydaje. — Odwrócił się do Fife'a. — Kim ona w ogóle jest?

Fife uśmiechnął się złośliwie, jakby już wcześniej miewał z Meevą kłopoty.

— Tam, skąd pochodzi, była kapłanką — odparł. — Miała wielką świątynię zbudowaną z pięknego kamienia, z hordami ludzi, którzy jej usługiwali, i przybywali z całej planety, aby słuchać jej przepowiedni.

Dwaj mężczyźni z rasy Meevy poderwali się na równe nogi i zaczęli krzyczeć:

— To prawda - co do słowa!

Fife stwierdził:

— Jeśli tak, to ludzie z waszej planety są wielkimi głupcami. Siadaj, Meeva.

Otworzyła usta, a on powtórzył pewnym głosem:

— Siadaj, Meeva. Nie potrzebujemy żadnych twoich przepowiedni.

Meeva zamknęła usta i usiadła. Dwaj mężczyźni pomogli jej, dając wszystkim do zrozumienia, jak bardzo jest cenna. Meeva podziękowała im uprzejmie, po czym zwróciła się do Fife'a:

— Rób sobie, co chcesz. Ale ja zostaję tutaj.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i wycofała się z dyskusji, przybierając wyniosłą pozę. Home poczuł ulgę. Wtedy jednak, fioletowy gargulec oznajmił swym grobowym głosem:

— Nawet szarlatani czasami mówią prawdę.

— Wiem, wiem — odparł Fife. Niecierpliwie rozejrzał się po kręgu. — Wybraliście mnie na swojego przywódcę, zgadza się?

— Tak — odparł gargulec.

— Dlaczego?

— Bo byłeś na tyle sprytny, żeby znaleźć sposób na ucieczkę z zagród niewolniczych.

— Dobrze. A teraz myślisz, że nagle stałem się taki głupi, że nie widzę tego, co jest oczywiste dla wszystkich pozostałych?

Fife popatrzył na Home'a, a potem na Ewana i dziewczynę, a jego oczy zrobiły się bystre, okrutne i kompletnie pozbawione litości. Podczas wcześniejszej rozmowy, zaczął im się wydawać niemal człowiekiem, lecz teraz w jednej chwili to pseudoczłowieczeństwo zniknęło i zrobił się równie obcy jak wszyscy inni, a o wiele bardziej niebezpieczny.

— Ja też nie ufam tym ludziom — mówił dalej Fife. — Ale ważę szanse. W moim domu rodzinnym jesteśmy wielkimi hazardzistami, a odkąd opuściłem jajo, przyzwyczaiłem się do rzucania kośćmi obiema rękoma. Więc mówię wam tak: uważam, że powinniśmy pójść z nimi do tuneli i dalej do Rillah, znanymi nam przejściami. Ci, którzy chcą zostać tutaj z Meevą, mogą to zrobić. Ale mówię też tak. Trójka ludzi pójdzie bez broni, każdy ze strażnikiem za plecami, a jeśli dojdzie do zdrady, to oni pierwsi tego pożałują.

Ewan zerwał się na równe nogi.

— Nie! — zawołał. — Nie pójdę na Vellae bez broni. Albo nam zaufasz, albo…

— Ewan — mruknął cicho Home. — Rozejrzyj się. Zastanów się, ilu z nich zdołasz zabić, zanim reszta rozerwie cię na strzępy. Potem pomyśl chwilę o Yso.

Ewan warknął coś pod nosem. Nie dało się jednak zaprzeczyć prawdziwości słów Home'a. Wyciągnął pistolet zza pasa i rzucił go pod nogi Fife'a. Potem usiadł z powrotem.

Home powiedział do Fife'a:

— Jestem hazardzistą, w pełni. Stawiam wszystko, co mi pozostało - moje życie - przy szansach jeden na milion, że dorwę Ardrica. Jeśli tak chcesz rozegrać tę sprawę, to tak będzie musiało być. Ale zanim się to wszystko skończy, możesz pożałować, że nie pozwoliłeś nam na zatrzymanie broni. — Oddał mu swój paralizator.

— Będziemy na nią bardzo uważać — powiedział Fife, uśmiechając się szeroko. — To jedna broń, jaką mamy.

Rozejrzał się.

— No to, wracając do rzeczy. Kto idzie do Rillah?

Obcy zaczęli mamrotać i wiercić się, szepcząc coś między sobą. Home obserwował ich z niepokojem, oceniając w myśli ich siły i czując się beznadziejnie ograniczony przez swój kompletny brak wiedzy o pułapkach i niebezpieczeństwach, jakie mogą na nich czyhać. Lecz Yso, choć wyczerpana, myślała o czymś innym. Nachyliła się do przodu.

— Fife, powiedziałeś: „za zamkniętymi bramami Wielkiego Projektu". Ona - Meeva - też o tym wspomniała. Co to jest?

Fife odparł z namysłem.

— Nie wiesz?

— Nie. — W ogarniającym ją podnieceniu zapomniała o swym zmęczeniu. — Mój ojciec zawsze uważał, że Vellae robią coś tak niebezpiecznego i zakazanego, że nie odważą się do tego wykorzystać siły roboczej ze Skereth, nawet tych biedaków, których praktycznie zapędzają siłą do pracy, w niektórych swoich kopalniach. Uważał, że właśnie dlatego potajemnie sprowadzają niewolników z innych planet, takich jak ty.

Fife wzruszył ramionami.

— Twój ojciec lepiej niż ja powinien znać sposób myślenia swoich rodaków. Ja wiem tylko, że zostaliśmy porwani we śnie przez uzbrojonych ludzi, odurzeni i przywiezieni statkami na Skereth, gdzie nawet nie zobaczyliśmy światła dziennego, tylko wyładowano nas w ukrytych hangarach i zabrano do szybów. Tam kazano nam kopać. Kopiemy bez końca, budując galerie, komory i kolejne galerie, biegnące we wszystkie strony, w górę i w dół. To właśnie nazywane jest Wielkim Projektem.

Spoglądali po sobie nawzajem. Home spytał:

— Ale co mają mieścić te galerie?

— Z rozmów strażników — odparł Fife — wywnioskowaliśmy, że Vellae tworzą miejsce dla potrzeb jakiegoś wielkiego i tajnego przedsięwzięcia naukowego. — Dodał z nutą goryczy w głosie: — Ale co te ignoranckie humanoidy mogą wiedzieć o nauce?

Gargulec oznajmił uroczyście:

— Cokolwiek oni tam robią, to jest złe. Nawet strażnicy Vellae tak mówili.

Yso rzuciła Ewanowi triumfalne spojrzenie.

— Morivenn miał jednak rację. Nie ma co do tego wątpliwości.

— Nie ma — zgodził się z nią Ewan — i bardzo mi przykro. Nie dlatego, że się myliłem, ale dlatego, że Vellae będą bardziej czujni, jeśli będą strzegli swej wielkiej tajemnicy, a to utrudni nam nasze zadanie.

Po chwili obcy podzielili się na dwie grupy. Jedna, mała grupka siedmiu lub ośmiu z nich, skupiła się wokół Meevy i jej rodaków. Druga, licząca około piętnastu osób, włączając gargulca, rodaków Chella i dwóch włochatych olbrzymów z Allamar, zebrała się koło Fife'a.

Lurgh stwierdził:

— Ta wyprawa jest niebezpieczna. Ale myślimy, że siedzenie tutaj nic nam nie da.

— Dobrze — oznajmił Fife. — Teraz musimy pomyśleć.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, oczy mu błyszczały, a czubek języka przesuwał się po wargach. Nagle odwrócił się i wskazał na Meeve.

— Skoro nie chcesz zaryzykować osobiście, możesz oddać ubranie. Ludzie muszą się przebrać. Vellae już na pierwszy rzut oka rozpoznają, że jesteśmy niewolnikami, ale ludzie muszą być w stanie udawać panów.

— Nie! — zawołała Meeva. — Nigdy!

Ale Fife skinął już głową w stronę Chell, Lurgh i gargulca. Ruszyli szybko ku Meeva. Fife ciągle chodził, nie patrząc w stronę źródła wściekłych wrzasków.

— Wy dwaj będziecie musieli sami zadbać o swoje przebrania — powiedział. — Przede wszystkim trzeba zdobyć mundury strażników. Ale również bardzo by się nam przydał i stożek, gdybyście go skądś zdobyli.

— Stożki? — spytał Home. — W tunelach?

— O tak. Jednoosobowe stożki, przystosowane do specjalnych funkcji. Jak inaczej, twoim zdaniem, można by nadzorować pracę, kierować niewolnikami i kontrolować ich? Tak, stożek. To będzie niezbędne. Nie mamy szans dotarcia do Rillah nie napotykając kogoś, nawet w starszych galeriach. Jeśli uda nam się sprawić wrażenie, że jesteśmy zwyczajną grupą strażników i niewolników…

Fioletowy gargulec, który miał na imię D'quar, wrócił z Chellem, niosąc wstęgę niebieskiego materiału. Fife wziął ją, wraz z haftowanym pasem, i rzucił Yso.

— Mam nadzieję, że docenisz tę ofiarę — stwierdził złośliwie. — Meeva pracowała zupełnie nago, żeby oszczędzać swój ubiór, a nawet tutaj wkładała go tylko od czasu do czasu, kiedy chciała pobawić się w kapłankę.

Yso popatrzyła z przykrością na Meeve i powiedziała:

— Przepraszam…

Meeva, trzymana siłą w ogromnych dłoniach Lurgha, wyrzuciła z siebie potoki słów, a Fife się roześmiał.

— Takich słów nigdy nie nauczyłaby się, w żadnej świątyni. Zamknij jej gębę, Lurgh.

Lurgh potrząsnął nią i ucichła. Podobnie jak dwaj mężczyźni z jej rasy, którzy obecnie rozmasowywali sobie siniaki.

— Prześpijmy się sześć godzin — powiedział Fife. Jego bystre oczy oceniały badawczo dwóch mężczyzn i kobietę. — Jesteście teraz za bardzo wyczerpani, żeby się nam do czegoś przydać. Nawet byście nie doszli do

Rillah. Tymczasem ci, którzy nie idą z nami, mogą sprawiedliwie podzielić się jedzeniem i napełnić wodą manierki.

Home, Ewan i Yso podeszli i położyli się na najdalszym końcu wielkiej kamiennej komnaty. Pomimo przytłaczającego zmęczenia, Home nie potrafił tak od razu zamknąć oczu. Spektakl w wielkiej jaskini zafascynował go - ta fantasmagoria niemożliwych kształtów i dziwacznych, ogromnych cieni, które pojawiały się i znikały wokół palącej się latarni. Przesuwające się kule unoszące się z wyciągniętymi mackami, gargulce poważnie spoglądające w mrok, całkowicie nieludzka sylwetka Fife'a i potężne kształty gigantycznych stworzeń o brązowym futrze z Allamar, ramiona i czułki, chityna, skóra i pióra, mieszające się, dotykające, stukające i szepczące w plamach światła i ciemności…

Nagłe Home'a ogarnęło wrażenie sennego koszmaru. Co on tu robi z tymi stworzeniami tak bardzo odmiennymi od ludzi? Opadły go, nie po raz pierwszy, myśli, że ludzie zbyt szybko i za bardzo oddalili się od Ziemi, że nie są jeszcze gotowi na takie rzeczy. Wydawało mu się, że obserwuje jakiś nieziemski sabat diabolicznych celebransów, a w jego tle niemal rozbrzmiewała mu w uszach szydercza, bluźniercza muzyka Berlioza. Chciał się stąd wydostać, zostawić śpiących Yso i Ewana i ich problemy, zostawić te dzieci koszmaru, opuścić tę planetę i wrócić do domu, wrócić do domu…

Ta myśl powstrzymała dreszcz reakcji Home'a. Choć ta mroczna horda była obca i przerażająca, wszyscy oni pragnęli tego samego co on. Wrócić do domu. Zostali tu siłą przywleczeni przez handlarzy niewolników z Vellae. Pracowali w trudzie i znoju, cierpieli i w końcu uciekli, a ich proste umysły tęskniły za mgłami Chorann, smutnymi lasami Allamar i wszystkimi innymi dzikimi planetami Obrzeży, z których przybyli, tak jak on tęsknił za Ziemią. Home'a ogarnęła nienawiść do Vellae za ten okrutny czyn - uczucie nienawiści, które po raz pierwszy nie było związane z jego osobistymi krzywdami. I dlaczego Vellae to zrobili? Cóż takiego tajemniczego robili z niewolnikami, co nawet ich rodacy uważali za tak złe?

Dziwna sylwetka Fife'a zbliżała się do niego, na tle światła. Mały kosmita nie przeoczył faktu, że Home nie spał. Podszedł i popatrzył na niego swoimi żółtymi oczyma.

— Przyglądasz się nam — powiedział, a w jego słowach słychać było podejrzliwość.

Home skinął głową. Odparł:

— Tak, Fife. Obserwuję was.

Zapadła cisza. Nie potrafił powiedzieć, czy to umysł Fife'a był w części zdolny do telepatii, czy też obcy odczytał zmianę uczuć Home'a w jakiś inny sposób. Lecz kiedy Fife odezwał się ponownie, jego głos brzmiał inaczej.

— Śpij, człowieku. W drodze do Rillah nikt z nas nie będzie miał czasu na odpoczynek.

ROZDZIAŁ XII

Galeria była szeroka i wysoka, wykuta w szczerej skale. Była sucha i dobrze wentylowana, częściowo przy pomocy szybów, które wychodziły z niej w górę, doprowadzając powietrze z zewnątrz. Home uznał, że muszą być jakoś osłonięte przed deszczem, i tym samym również nie wpuszczają blasku słońca, ponieważ nie docierało przez nie żadne światło, pomimo tego iż wiedział, że na zewnątrz znowu panuje dzień. Niektórzy z niewolników, uciekając z podziemi, zabrali ze sobą lampy robocze. Fioletowy gargulec, D'quar, kroczył na przedzie, niosąc na swym brzydkim czole śmieszną małą lampkę, służącą jako gwiazda przewodnia dla reszty.

Co pewien czas, wzdłuż całej galerii, w prawej ścianie - wewnętrznej, o ile Home dobrze to sobie wyobrażał - znajdowały się stalowe włazy. Były pokryte antykorozyjną warstwą plastiku i zamykane na osobliwie wyglądające zamki. Nawet Fife nie wiedział, do czego mogłyby one służyć. Zdawał sobie tylko sprawę, że grzebanie przy nich jest śmiertelnie niebezpieczne. Home jakoś nie miał ochoty aby się nimi bliżej zainteresować.

Przebyli długą drogę od miejsca schronienia na pustkowiach, forsownie maszerując w ciemnościach, wzdłuż obrzeża podnóża wzgórz, aż dotarli do podnóża pewnej łysej, garbatej góry, która, jak powiedział Ewan, znajdowała się blisko Rillah, po innej stronie miasta.

Kiedy świt powoli budził się do życia, Fife poprowadził ich dalej, labiryntem kanionów i wysokich grzbietów górskich. Droga była tak uciążliwa, że Yso po pewnym czasie kompletnie opadła z sił. Lurgh, wielkie, stworzenie z Allamar Dwa, o brązowym futrze, niósł ją przez jakiś czas, w najmniejszym stopniu nie wydając się przejmować jej ciężarem. Do czasu zanim odzyskała siły, weszli do otworu starego, ponurego tunelu, na wpół ukrytego pod kamiennym piarżyskiem.

— To musiała być kiedyś część kopalni — poinformował ich Fife. — Pewnie po tej stronie góry jest ich pełno, ale to jedyna, jaką znam. Część z nich łączy się z zewnętrznymi galeriami Projektu i dzięki temu, nielicznym z nas, udało się stamtąd uciec. Myślę, że nawet większość Vellae już zapomniała, że te tunele wciąż tutaj są.

Dodał:

— Idźcie ostrożnie. Sklepienie może się zawalić.

Przeciskali się przez klaustrofobiczny koszmar gruzu i spróchniałych szalunków, ze złowieszczo osypującym się im na szyje piaskiem i kamykami, aż wreszcie wąskie przejście wprowadziło ich do suchej, solidnej galerii wykutej w głębiej położonej skale. „To było”, pomyślał Home, „już diabelnie dawno temu i od tamtej pory przez cały czas się

wspinali.” Musieli być już blisko szczytu góry, tuż za zakrętem południowego zbocza.

Tunel w poszyciu góry, ze znajdującymi się w nim drzwiami. Po co? Mimo tego, że jego myśli zajęte były Ardricem i głębokim pragnieniem odnalezienia go, Home nie mógł się powstrzymać od pytań, co też kryje się za tymi zamkniętymi drzwiami, w ogromnym cielsku góry.

Yso i Ewan również gorąco pragnęliby się tego dowiedzieć, a powstrzymywały ich przed tym jedynie ponure ostrzeżenia obcych niewolników.

Chell z Chorann odezwał się nagle syczącym szeptem:

— D'quar, zgaśśś śśświatło.

D'quar posłuchał natychmiast i bez pytania. Gdy fioletowy gargulec się zatrzymał, wszyscy inni również stanęli w miejscu, a potem czekali w kompletnej ciemności, starając się nie oddychać ani nie poruszać, czujnie nasłuchując.

Home nic nie słyszał, ale działający w zakresie ultradźwięków słuch Chella był bardziej wyostrzony.

— To ssstożek — oznajmił. — Zmierza w tę ssstronę.

— Ach! — Ostry szept Fife’a wyrażał zarówno satysfakcję, jak i niepokój. — Vellae od czasu do czasu patrolują te zewnętrzne galerie, upewniając się, że wszystko jest tu w porządku. No dobrze. Będziemy mieli szansę na zdobycie stożka. Jeśli uda nam się go zdobyć, to świetnie. Jeśli nie, równie dobrze możemy od razu pozabijać się nawzajem, szybko i litościwie. I trzeba to zrobić szybko. Szybko, Home, słyszysz? Inaczej pilot stożka wezwie przez radio innych i wszystko pójdzie na marne.

Pamiętając o kompletnym braku możliwości zasadzki w galerii, Home spytał:

— W porządku, ale masz jakiś pomysł, jak to zrobić?

— Och — odparł Fife, — ja mam już w głowie cały plan. Obmyślam go, odkąd weszliśmy do galerii.

Zaczął szybko przedstawiać swoje pomysły. Kiedy skończył, Home powiedział:

— Może być. Po co debatować po próżnicy? Ruszamy.

Chell powiedział:

— Ssstożek jest jeszcze kawałek drogi sstąd. Możeszszsz zaryzykować użycie przez kilka sssekund śśświatła.

Lampa robocza zamigotała i rozjaśniła się, przyciemniona tak, że świeciła niewiele mocniej niż płomień zapałki, ale po marszu w kompletnej ciemności, nieomal oślepiała. Chell owinął Home'a trzema swoimi mackami i wciągnął głęboki dech. Uniósł się pod sufit i zaczął się od niego odbijać. Kolejna z futrzastych zielonych kul z Chorann, w ten sam sposób, podniosła Ewana. Pozostali pobiegli galerią, śpiesząc się, by zniknąć z widoku za zakrętem, który właśnie przed chwilą minęli. Home dostrzegł, jak Yso zatrzymuje się i rozgląda, pozostawiając ich z najwyższą niechęcią, i przemknęła mu przez głowę zupełnie bezsensowna myśl, że dziewczyna wygląda przepięknie w skąpym stroju Meeve, ze swymi długimi, żółtymi włosami opadającymi na jej białe ramiona. Potem zawołał rozpaczliwym szeptem:

— Fife! Fife, a co z bronią?

Fife zatrzymał się na tyle tylko, aby pokręcić przecząco głową.

— Mógłbyś uszkodzić stożek albo mundur. Nie martw się, udzielimy ci wszelkiej potrzebnej pomocy.

— Dziękuję bardzo — stwierdził z przekąsem Home.

— Ćśśś! — oznajmił Chell. — Zbliża sssię.

Jego towarzysz, niosący Ewana, wyszeptał:

— Tutaj, jest.

W ostatnim błysku gasnącego światła Home zobaczył, jak znika w jednym z szybów wentylacyjnych. Chell podążył za nim.

To były piekielne chwile - wisiał w uścisku żywego zielonego balonu, wciśnięty gdzieś do jakiejś dziury w górze, w której kompletnie nic nie widział. Jego życie, sukces całej misji i wiele innych spraw zależało od tego, czy będzie dobrze widział i czy nie popełni choćby najmniejszego błędu.

Nie widział, ale słyszał. W galerii w dole rozległo się słabe, stłumione pulsowanie.

Następnie pojawiło się światło. Potem, tuż pod nim, pojawiła się przezroczysta osłona, z dwoma umieszczonymi w niej prętami, oświetlającymi czubek krótko ostrzyżonej głowy człowieka, ramiona w czerwonej tunice, wyciągnięte do przodu czerwone rękawy i dłonie spoczywające na dźwigniach sterów stożka.

Chell spuścił powietrze z worka i opadł.

Wylądowali razem, z Homem pod spodem, na śliskiej plastikowej bańce. Natychmiast Chell chwycił się krawędzi stożka trzema rozpostartymi mackami i zaczął bujać Home'a w dół i w górę pozostałymi kończynami. Home dostrzegł kątem oka Ewana, który wyglądało jakby leciał w jego stronę w powietrzu, a po chwili obok Chella znalazła się druga zielona kula. Obaj, wspólnym ciężarem i siłami, rozbujali mocno lekki, latający stożek. Człowiek siedzący w środku, wyciągał głowę do góry, z szeroko otwartymi ustami i oczyma. Przez chwilę lub dwie nic nie zrobił, żeby zapobiec katastrofie. Po kilku sekundach, kiedy z powrotem odzyskał przytomność umysłu, było już za późno.

Home skoczył w stronę krawędzi stożka i uderzył w przycisk otwierania osłony.

Plastikowa bańka otworzyła się, nieomal odrzucając Chella i jego przyjaciela, lecz na szczęście nie do końca. Stożek wisiał teraz pod ostrym kątem, a człowiek w środku mechanicznie próbował, szarpiąc za stery, doprowadzić go do pozycji poziomej. Starał się nie wypaść z fotela. Zanim zdążył zareagować, Home był już we wnętrzu stożka i leżał na nim.

Kokpit mógł pomieścić tylko jednego człowieka. Mężczyzna w czerwonym mundurze początkowo próbował sięgnąć po broń, lecz kolano Home'a już na niej było, wciskając ją w bok pilota. Wtedy pilot stożka zacisnął pięści, warknął ze złości i zaczął z całej siły walić Home'a po twarzy. Home oddał mu. Złapał pilota za szyję, zaczął go dusić oraz bić jego głową o wewnętrzną stronę krawędzi kokpitu. Była ona jednak miękko wyścielana, tak więc to rozwiązanie okazało się nieskuteczne, tym

bardziej, że nie było miejsca, aby Home mógł się wystarczająco mocno zamachnąć.

Ewan spoza kokpitu sięgnął do sterów stożka, wyłączył jego małą jednostkę napędową oraz przestawił osłony grawitacyjne tak, że stożek bez trudu dał się przekręcić do góry nogami i Chell musiał go puścić. Home wypadł ze stożka na skalne podłoże, wyciągając ze sobą pilota.

Strażnik popatrzył za jego plecy i twarz mu pobladła. Podjął ostatnią, desperacką próbę sięgnięcia po broń. Home stanął mocno na nogach i uderzył mężczyznę z całej siły w szczękę, podczas gdy reszta niewolników dobiegła do nich i zatrzymała się, patrząc na pierwszego Vellae, jakiego kiedykolwiek widzieli, leżącego bezradnie u ich stóp. Home wyjął pilotowi broń z kabury.

Fife rozkazał:

— Rozbierzcie go.

Jego twarz w tej chwili nawet w najmniejszym stopniu nie przypominała ludzkiej. Zanim zdjęli mu mundur, strażnik otworzył ponownie oczy i z lekkim przerażeniem wpatrywał się w dwóch owłosionych, prawie trzymetrowych olbrzymów, którzy go trzymali, oraz innych obcych w pobliżu. Oczy Fife'a błyszczały. Trzymał w dłoni pistolet, który dał mu Ewan.

— Odsunąć się — wydał kolejny rozkaz.

Home nonszalancko uniósł pistolet, który odebrał strażnikowi. Spytał łagodnym głosem:

— Po co chcesz to zrobić? Możemy stracić wiele ważnych informacji.

Przez chwilę myślał, że Fife spróbuje go zabić, lecz po sekundzie Fife rozluźnił się i opuścił pistolet.

— Możesz mieć rację — przyznał. — No dobrze, zobaczymy, czego się od niego dowiemy. D'quar?

Fioletowy gargulec podszedł i przykucnął koło strażnika. Uniósł wielką dłoń i ostentacyjnie wysunął z palców, jeden po drugim, pazury, których mógłby pozazdrościć mu tygrys. Następnie delikatnie położył dłoń na piersi strażnika, tuż pod gardłem.

— Pytaj go, o co chcesz — powiedział Fife do Home’a. — D’quar dopilnuje, żeby udzielił ci odpowiedzi na twoje pytania.

Zanim Home zdążył się odezwać, nad schwytanym człowiekiem pochylił się Ewan.

— Co jest za tymi włazami? Co Vellae robią w środku tej góry?

Strażnik popatrzył na niego z pełną goryczy pogardą.

— Znam cię — oznajmił. — Często widywałem cię w telewizji. Byłeś kiedyś chłopcem na posyłki Morivenna. — Powiódł wzrokiem po wrogich, obcych twarzach nachylonych nad nim. — Więc to tym zajęliście się teraz, kiedy Morivenn nie żyje. Czy nie jest to raczej spory upadek, jak na człowieka, nawet Federacjonistę?

Ewan burknął:

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Nie odpowiem. — Twarz strażnika zastygła w rozpaczliwej masce twardości człowieka, który wie, że umrze, i jest zdeterminowany aby nie

dać swoim zabójcom żadnej satysfakcji. — Włazy są tam gdzie zawsze. Jeśli chcesz wiedzieć, co za nimi jest, to pójdź i sam sobie w nie zajrzyj.

Home odepchnął Ewana na bok.

— Możemy porozmawiać o tym później. Wy, Vellae, jeździcie od czasu do czasu do Rillah, prawda? Wiecie o większości rzeczy, które się tam dzieją?

— Wiemy.

— Co wiecie o Ardricu?

— Ardric? — zdziwił się mężczyzna. — Przecież, on… — Potem urwał, a w jego oczach pojawił się niepokój. — On nie żyje. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

Fife rzucił spokojnie.

— D'quar…

Jeden z tych ostrych pazurów poruszył się, wbił się w gardło jeńca i zaczął się powoli kurczyć, po drodze rozrywając je milimetr po milimetrze. Strażnik krzyknął raz, a potem zacisnął zęby.

Home skomentował:

— Tylko tracisz czas, D'quar. W ten sposób nie zmusisz go do mówienia.

— Zamknij się — warknął Fife. — Będzie gadał, albo rozerwiemy go na strzępy. No dalej, D'quar, rozerwij go!

Home pokręcił przecząco głową.

— Jesteś całkiem mądry, Fife, ale nie znasz się na ludziach. Ten tutaj, jest wściekły i nastawiony na śmierć, tak więc nic nam nie powie. Dlaczego? Bo myśli, że i tak umrze, więc do diabła z nami wszystkimi. Z drugiej strony, gdyby miał wybór…

— Jaki wybór?

— Wybór między życiem lub śmiercią. Jeśli nie chce mówić, umiera. Jeśli będzie mówił, żyje. Nie bądź uparty, Fife. Co znaczy jeden Vellae przeciwko szansie na powrót do domu i wolność?

Fife rozejrzał się po pozostałych.

Lurgh niezręcznie poruszył swoją ogromną sylwetką i powiedział niepewnie:

— Myślę, że człowiek ma rację.

Nie było żadnych głosów sprzeciwu.

Fife po raz drugi opanował się.

— Zatem zgadzamy się. Jeśli ten człowiek będzie mówił, darujemy mu życie.

D'quar westchnął, jakby z żalem, i cofnął dłoń.

Home powiedział do strażnika:

— No i?

Patrzył, jak niezłomna determinacja tego człowieka rozpada się w proch, po tym jak jej fundamenty uległy skruszeniu. Nie ma nic, pomyślał, co by tak osłabiało ducha, jak nadzieja.

— Możemy zacząć od pewnego ułatwienia ci dalszej rozmowy — powiedział Home, — informując cię, że wiemy, iż Ardric żyje. Walczyliśmy z nim zaledwie dzień czy dwa temu.

— Walczyliście? — spytał strażnik. — Udało im się to utrzymać w sekrecie. Ja wiedziałem tylko, że Ardric żyje…

Wziął głęboki oddech i zdecydował się.

— Ardric odkąd wrócił na Skereth, pracuje w Projekcie.

Home'a ogarnął gwałtowny dreszcz, niemal triumfalny. Popatrzył na pozostałych i oznajmił cienkim, szorstkim głosem, ostrym niczym ostrze skalpela:

— Nie będziemy musieli przekradać się do Rillah.

— Tutaj, w Projekcie? — zaczął dopytywać się Fife. — I co on tutaj robi?

— No cóż — odparł jeniec — on jest przede wszystkim pilotem kosmicznym i nie ma zielonego pojęcia o Projekcie, ale przyzwyczajony jest do wydawania rozkazów. Dlatego ojciec powierzył mu dowództwo nad całą strażą Projektu. Teraz mówi nam, jak mamy wykonywać pracę, którą zajmujemy się od lat.

Fife obliczył upływ czasu. W końcu stwierdził niechętnie:

— Wszyscy uciekliśmy zanim on się tutaj pojawił, a więc możesz mówić prawdę.

— Myślę, że tak — powiedział Home. — Gdyby jakiś człowiek chciał się na jakiś czas ukryć, człowiek, który podobno jest martwy, to gdzie znalazłby lepsze miejsce, niż to?

Schylił się do strażnika.

— Chcę Ardrica. Jak mogę się do niego dostać?

Jeniec popatrzył na niego, zaskoczony zimną intensywnością jego wrogości i gniewu.

— Nie sądzę, aby to było możliwe — stwierdził. — On mieszka i pracuje w Centrum Administracyjnym, w sercu Projektu. Nawet gdybyś nosił na sobie mój mundur, nie miałbyś zbyt wielkiej szansy, żeby się do niego zbliżyć. A nawet gdyby ci się to udało, zabiliby cię, zanim zdołałbyś uciec. Co do tych pozostałych… — powiódł wzrokiem po obcych i pokręcił przecząco głową. – Absolutnie nie ma mowy.

— Jesteś tego pewien? — spytał go Home. — Zastanów się dobrze. I pamiętaj, co od tego zależy.

Na twarzy jeńca pojawił się pot. Teraz, gdy dostrzegł promyk nadziei, był jeszcze bardziej przerażony, niż wtedy, kiedy był pewien, że umrze.

— Nie wiem — oznajmił desperacko. — Proszę, nie mogę wskazać wam żadnego sposobu, skoro on nie istnieje.

— Spróbuj — naciskał Home. — Nie śpiesz się.

Schwytany strażnik rozejrzał się, uwięziony w pułapce i zrozpaczony. Jego spojrzenie padło na Yso, a usta rozchyliły mu się, jakby chciał się do niej zwrócić z apelacją, lecz po chwili zdawało się, że rozpoznał w niej córkę Morivenna i nadzieja w jego oczach zgasła.

Fife podszedł o krok bliżej. Obcy zaczęli zbliżać się ze wszystkich stron, a D'quar stał, jakby z roztargnieniem spoglądając w dół na swoje szpony. Wszystkie te nieludzkie twarze patrzyły na jeńca głodnym wzrokiem. Home domyślał się, co czuje strażnik, kiedy popatrzył w górę na te nieludzkie twarze i pomyślał o tym, jak traktowano tych niewolników.

Twarz jeńca pociemniała z wysiłku, a jego głos wyraźnie drżał.

— Gdybyście ruszyli na dół przez galerie wejściowe, napotkacie innych strażników i będziecie musieli przejść przez wiele poziomów, na których wciąż trwają prace, i jest tam jeszcze większa liczba strażników, pilnujących niewolników. To niemożliwe. Po prostu nie moglibyście przejść niezauważeni i niezatrzymani. Jedynym sposobem byłoby więc przejście przez sam Projekt…

— Przez te włazy?

— Tak… ale posłuchaj, nawet gdybyście dotarli do stacji przekaźnikowej głównego zwoju, a stamtąd do centrum kontroli w Administracji, to i tak byłaby was jedynie garstka przeciwko strażnikom Projektu, a każdy niewolnik złapany w Administracji zostałby zastrzelony na miejscu. Nie ma więc żadnego sposobu, który bym widział…

— Chwileczkę — przerwał mu Home. — Główny zwój? Co to jest? Co budują Vellae we wnętrzu tej góry?

Wyraz nawiedzonego strachu wkradł się na twarz strażnika wbrew jego woli, ale uczucie to było zbyt silne, aby był je w stanie stłumić.

— Mózg — odparł. — Ogromny, wielki mózg.

ROZDZIAŁ XIII

Przez chwilę w galerii panowała kompletna cisza. Potem Fife spytał ze zdziwieniem:

— Mózg? Żywy, myślący mózg?

— Nie - żywy, w zwykłym tego słowa znaczeniu — odparł strażnik. — To gigantyczny komputer elektroniczny, jedna z tych maszyn, które potrafią wykonywać obliczenia tak dalece przekraczające ludzkie możliwości, że nazywa się je „mózgami". Ten jest największy, jaki kiedykolwiek istniał.

Yso powiedziała powoli:

— Nic dziwnego, że zabili mojego ojca. Nic dziwnego, że zabiliby każdego, kto spróbowałby wprowadzić Skereth do Federacji.

Z rozpaczą przeniosła spojrzenie z Home'a na Ewana, a potem na obcych i wreszcie na sprytną, nieludzką twarz Fife'a.

— Myśleliśmy, że oni boją się jedynie utraty zysków i władzy, ale tu chodzi o coś więcej. Mój ojciec również tak myślał - i miał rację. Gdyby Skereth weszła do Federacji, przywódcy Vellae nie mieliby szans na ukrycie tego, co tutaj robią. Trafiliby do więzienia za to, że próbują zagrozić pokojowi całej społeczności galaktycznej.

Fife pokręcił niepewnie głową.

— Ale dlaczego?

Ewan dodał ponuro:

— Prawo Federacji zabrania jakiejkolwiek planecie, rządowi lub prywatnemu przedsiębiorstwu, konstruowania elektronicznych maszyn liczących o możliwościach większych niż ściśle określone. Wszyscy oni mogą korzystać z tylu mózgów, ilu potrzebują do prowadzenia swojej działalności, ale nie mogą one być ze sobą połączone i nie mogą razem przekraczać tego ustalonego maksymalnego limitu. Jeśli tak by się stało, Federacja uzna to za akt wojny. Podejmie działania karne przeciwko każdej planecie, w Federacji czy też poza nią, która zagrozi reszcie galaktyki, budując tak niebezpieczne urządzenie.

Pełne znaczenie słów strażnika w znacznej mierze umknęło Home'owi, który był pilotem kosmicznym i nie zajmował się zbytnio zawiłościami prawa galaktycznego, poza swoją sferą zainteresowań. Zrobiły na nim jednak wrażenie reakcje Yso i Ewana, którzy otwarcie okazywali przerażenie. Pamiętał też jakąś rozmowę z przeszłości, o dawnych kłopotach z tego rodzaju mózgami.

Spytał:

— Ale dlaczego to jest takie niebezpieczne? Broń, to jeszcze mógłbym zrozumieć, ale mózg elektroniczny…

— To jest broń — powiedział Ewan. — Potencjalnie najbardziej niebezpieczna ze wszystkich. — Przerwał na chwilę, jakby szukając sposobu, w jaki mógłby wyjaśnić całą sprawę. — Posłuchaj, włócznia jest przedłużeniem ludzkiej ręki i jest od niej o wiele bardziej niebezpieczna, tak? No to, mózg elektroniczny jest przedłużeniem ludzkiego umysłu - a tak naprawdę połączonych umysłów wielu ludzi.

To było dosyć jasne. Home skinął głową, zaś Ewan kontynuował.

— Teoretycznie można by go rozszerzyć aż do takich rozmiarów, że ludzie, którzy by nim sterowali, byliby praktycznie niezwyciężeni. Mieliby do dyspozycji całą broń, całą strategię, całą propagandę, całą psychologię, wszystko to gotowe do natychmiastowego użytku. Na przykład pewna część mózgu mogłaby zostać wykorzystana do opracowywania nowych równań dla budowy zaawansowanych systemów uzbrojenia, pozostawiając resztę wolną do rozwiązywania problemów ataku na wszystkich poziomach, obliczania krzywej prawdopodobieństwa ruchów wroga – wszystkiego. A przez cały czas dodawane byłyby nowe dane, czyniąc mózg jeszcze bardziej potężnym. Nie twierdzę, że nigdy nie dałoby się go zniszczyć, ale byłoby to skrajnie trudne zadanie i po tym wszystkim z planety, na której by się on znajdował, pozostałoby naprawdę niewiele.

Zacisnął dłonie i delikatnie uderzył nimi o siebie w geście czystej desperacji.

— Jeśli nam się tu nie uda - jeśli nie uda nam się jakoś dostarczyć dowodów rządowi Federacji - Skereth i prawdopodobnie cała ta część galaktyki uwikła się w taką wojnę, że…

— Cicho! — przerwał im nagle Chell, zrywając się na równe nogi. — Jeszszszcze jeden ssstożek. Chyba większszszy.

Strażnik zesztywniał w uścisku kudłatych istot.

— Nie wykonałem rutynowej kontroli łączności. Teraz przylecieli zobaczyć, co się ze mną stało. To będzie dwuosobowy stożek, uzbrojony.

— Ty zdradziecki człowieku — warknął Fife i ruszył szybkim krokiem w stronę strażnika.

Home odepchnął go na bok.

— Nie daliśmy mu zbyt wielu szans na wykonanie tej kontroli, prawda? W każdym bądź razie, nadal go potrzebujemy. Żywego i całego, rozumiesz. A teraz, schowaj go za zakrętem.

Podał Ewanowi broń, którą odebrał strażnikowi.

— Dopilnuj, żeby nic mu się nie stało. Yso, będę cię potrzebował i będzie mi potrzebny również Chell.

W ogromnym pośpiechu zaczął zakładać na siebie czerwony mundur strażnika. Yso spytała:

— Co masz zamiar zrobić?

— Odegram dla nich niewielkie przedstawienie. — Przerwał na chwilę, marszcząc brwi. — To będzie niebezpieczne. Prawdopodobnie cała nasza trójka zginie. Jeśli ty i Chell nie chcecie ryzykować…

Yso oznajmiła:

— Nie traćmy czasu, Home. Czego od nas chcesz?

Powiedział jej, wchodząc do stożka. Pomysł przyszedł mu do głowy szybko, początkowo bardzo niekompletny, lecz nabrał dokładniejszych i

pełniejszych kształtów, w miarę jak nad nim myślał i zaczął się zastanawiać, co można by z tym zrobić dalej, gdyby spełnił on jego oczekiwania.

Chell dodał ostatni szlif.

— Użyj ramion ssstożka — powiedział. — Widziszszsz? To sssą zarówno narzędzia, jak i broń.

Home dostrzegł teraz coś, czego nie zauważył wcześniej - parę połączonych, przypominających ramiona wyrostków zakończonych żelaznymi pazurami, wysuwających się spod krawędzi metalowego stożka.

— Mogą przewodzić prąd — poinformował go Chell. — Wiem, bo widziałem niewolników poparzonych przy pomocy tego urządzenia, porażonych prądem, a nawet zabitych. A więc bądź ossstrożny. Possstaraszszsz sssię?

Podlatując szybko udał się z powrotem do Yso. Home zamknął osłonę i uruchomił osłony grawitacyjne, aby wyprostować stożek. Uruchomił maleńki silnik na sprężone powietrze, a stożek powoli ruszył, z prędkością idącego człowieka, z powrotem wzdłuż galerii, tą samą drogą, którą przybył.

Kiedy dwuosobowy stożek minął zakręt, siedzący w nim strażnicy zobaczyli Chella jako pierwszego - zbliżającą się do nich ogromną, futrzaną, zieloną kulę, niosącą w trzech mackach Yso. Yso zdawała się być nieprzytomna, wisząc bezwładnie z żółtymi włosami opadającymi niczym złota kurtyna i skąpymi, niebieskimi serpentynami powiewającymi jej u pasa.

Przy pomocy dwóch pozostałych macek, Chell wymachami opędzał się przed siedzącym w stożku Homem, który najwyraźniej popędził go przed sobą, wraz z jego ciężarem. Potężne, szponiaste ramiona wysuwały się co chwilę ze stożka, grożąc mu, a jedno z nich znajdowało się wystarczająco blisko jego futra, by gesty niepokoju Chella wyglądały autentycznie. Mimo to, Chell starał się utrzymywać jak najwięcej swojej masy pomiędzy Homem a nowoprzybyłymi, aby go jak najbardziej zasłaniać.

Home, odwracając twarz do tyłu, powiedział przez głośnik:

— Znalazłem tego niewolnika i kobietę w galerii. Zaatakowali mnie i byłem zmuszony ich obezwładnić. Kobieta może być ciężko ranna. Cieszę się, że przylecieliście. Wyjdziecie i zajmiecie się nią? To niezwykle ważne, żebyśmy zabrali ją żywą do Ardrica.

Dwaj nowoprzybyli strażnicy w stożku, wpatrywali się z fascynacją w białoskórą dziewczynę w uścisku Chella.

— Kim ona jest? — spytał jeden z nich. — I jak dostała się do galerii?

— Nie wiem, jak ona się tu dostała — odparł Home — ale jestem prawie pewien, kim ona jest. Widziałem jej zdjęcia. To córka Morivenna.

— Córka Morivenna? — spytał strażnik przy sterach. W jego głosie pojawiło się napięcie i zrobił się on co najmniej o ton wyższy. — Córka Morivenna?

— Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości — potwierdził Home.

— Tutaj, w Projekcie? — spytał strażnik. — Masz rację, to jest rzecz pierwszej wagi!

Posadził stożek z łupnięciem. Jednostka napędowa natychmiast zgasła. Osłona otworzyła się i obaj mężczyźni wyskoczyli z pojazdu, a następnie ruszyli biegiem w stronę Yso.

Chell natychmiast delikatnie położył ją na podłogę, puścił, i zarzucił macki na najbliższego strażnika, który ryknął z przerażenia. Drugi sięgnął po pistolet i zaczął krzyczeć do Home'a, żeby zrobił coś z Chellem.

Home jednym szybkim ruchem musnął po kolei dwa przyciski. Stożek skoczył kilka stóp do przodu, po czym wystrzeliła z niego potężna żelazna dłoń i swoimi niesamowicie giętkimi palcami chwyciła krzyczącego człowieka za rękę. Pistolet buchnął przez chwilę nieszkodliwie płomieniem na skalny sufit, a następnie upadł na podłogę galerii, gdy pochwycony człowiek został poderwany z podłogi i uniesiony w powietrze.

W tym samym czasie Chell pewnie wezwał swoich przyjaciół, ponieważ szybko nadbiegli i jeden z nich złapał drugiego ze strażników, tak więc Home nie musiał się nim zajmować. Yso z podekscytowaniem popatrzyła na Home'a i zawołała:

— Udało się! I co teraz?

Home wyłączył stożek i wyskoczył z niego na podłogę. Czuł się wspaniale i walczył z tym uczuciem, bo wiedział, że jest zdecydowanie za wcześnie na to, by zacząć sobie składać gratulacje. Odparł ponuro:

— Teraz dokończymy przesłuchanie naszego pierwszego jeńca oraz opracujemy dalsze plany, i lepiej, żeby były dobre, bo później nie będziemy mieli możliwości ich zmienić.

— I lepiej sssię pośśśpieszszszmy — zauważył Chell — zanim kolejny ssstożek zacznie ich szszszukać.

Dołączyli do Fife'a, pozostałych niewolników i Ewana. Home nachylił się nad swoim pierwszym jeńcem.

— A teraz — oznajmił mu — chcę się czegoś dowiedzieć o tych zamkniętych włazach i przejściach za nimi.

Od tej chwili planowanie nie trwało już długo. Było to szalenie nieprawdopodobne przedsięwzięcie i, jak myślał Home, niemal z góry skazane było na porażkę, lecz oferowało jedyną możliwość powodzenia, jaką widział, i nikt temu nie zaprzeczył ani nie zasugerował niczego lepszego.

Zamki żelaznych włazów były sterowane kluczem o ustalonej częstotliwości, zapisanym w stożkach strażników. Wejścia te były w rzeczywistości włazami do konserwacji i napraw w labiryncie korytarzy Projektu - mózgu, który i tak potrzebował większości góry, aby pomieścić swoje komórki i zwoje nerwowe - ogromne banki pamięci, jednostki obliczeniowe, centra porównawcze, analizatory danych, wszystkie komponenty ludzkiego mózgu z wyjątkiem tej nieokreślonej części, z której człowiek czerpie swoje emocje, osobowość i człowieczeństwo.

Z uczuciem, jakby miał dokonać niesamowitego wtargnięcia w witalne tkanki quasi-żywej istoty, Home aktywował częstotliwość klucza i otworzył jeden z włazów do mózgu.

Drzwi były starannie wybrane na podstawie informacji od strażnika. Natychmiast wszyscy trzej ludzie z Projektu, związani i zakneblowani, zostali wciągnięci do komory za włazem, gdzie nikt nie powinien ich zbyt

szybko odkryć. Home przekazał mały stożek Ewanowi, który miał praktykę w prowadzeniu tego rodzaju pojazdów.

Yso już siedziała za sterami większego, a Fife znajdował się u jej boku. Chell i jego dwaj towarzysze mieli lecieć z nimi. Cała reszta miała wyruszyć z Homem.

Home pomyślał, że nie ma większej różnicy między tymi dwiema grupami, jeśli chodzi o szanse przeżycia.

Home i jego grupa mieli potajemnie zakraść się do Centrum Administracyjnego i zaatakować je od środka. Yso, Ewan, Fife oraz trójka istot z Chorann mieli spróbować otwarcie przedostać się do niższych galerii, gdzie pracowali niewolnicy, poderwać ich do buntu, obezwładnić strażników i zaatakować Centrum Administracyjne od zewnątrz. Mieli nadzieję przechwycić nie tylko Ardrica, lecz i sam mózg. Potem, nawet jeżeli zginą, będą mogli przy okazji przynajmniej zniszczyć mózg.

— Zrób to porządnie — powiedział Home do Ewana.

— Ty też — odparł Ewan. W jego głosie słychać było determinację, lecz nie było w nim nawet cienia nadziei na sukces.

Home zerknął przelotnie na Yso, wyglądającą olśniewająco w swej krzykliwej kreacji. Uśmiechnął się do niej.

— Jesteś dokładnie tym, kogo potrzebujemy do poprowadzenia tej krucjaty — stwierdził. — Daj im solidnie popalić, córko Morivenna!

Skinęła głową, odrzucając do tyłu blond włosy, a on zdawał sobie sprawę z tego, że nie musi jej ani namawiać, ani zachęcać do działania. Wiedział, że myśli o ojcu. Home poczuł krótkie, ale niezwykle ostre ukłucie żalu, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miał okazji poznać tej dziewczyny lepiej niż w chwili obecnej.

Fife uśmiechnął się do siebie i pożądliwie oparł dłonie na urządzeniach sterujących bronią, na znajdującym się przed nim pulpicie. Home powiedział mu kilka słów, a potem wyciągnął rękę do Chella, który owinął wokół niej koniuszek macki.

— No, dobrze — oznajmił Home. — Ruszajmy.

Skinął głową w stronę Lurgha i fioletowego gargulca, po czym przeszedł przez właz, a cały jego dziwny zespół podążył za nim, zanurzając się w sekretnych korytarzach serca mózgu.

ROZDZIAŁ XIV

Góra pełniła funkcje podobne jak czaszka, a Home stąpał przez jej wnętrze, niczym mikroorganizm poruszający się krętymi tunelami mózgu, wypełniającymi pustkę jego ogromnej, w porównaniu z mikroskopijnymi rozmiarami wędrowca, kopuły.

We wnętrzu tego mózgu było światło, gdyż inne ludzkie mikroorganizmy, które mu służyły, musiały dobrze widzieć, aby się przemieszczać. Do poruszania się w środku, służyły kilometry pomostów. Jeden z nich rozciągał się od łukowatego otworu po drugiej stronie komory wejściowej - wąska, pajęczynowata konstrukcja, która ciągnęła się w nieskończoność, niczym długie, proste włókno podwieszone na masie lin nośnych.

Po niedawnej długiej drodze przez mroczną, skalną galerię, wylewające się zewsząd rozproszone światło i złożona perspektywa tego miejsca, skonfundowały odrobinę Home'a i przyprawiły go o zawrót głowy. Dla otuchy popatrzył do góry, na gładki, okrągły dach niesamowicie szerokiego wydrążonego w górze silosu, lecz znajdował się on zbyt blisko jego głowy i wywołał u niego klaustrofobiczne uczucie duszności i pogrzebania głęboko pod ziemią.

Więc popatrzył w dół.

Pomost wisiał nad grubą, przezroczystą rurą. Podtrzymywała ją pajęczyna kabli, jak jakąś szklistą arterię krwionośną, która biegła od wieczności do wieczności, niosąc w swych trzewiach grubą masę przewodów o wielu różnych kolorach. Przewody przypominały z wyglądu wiązkę włókien nerwowych i Home zdał sobie sprawę, że tak naprawdę, tym właśnie były. Według strażnika, był to jeden z głównych zwojów nerwowych, obsługujący całą otaczającą ich część mózgu. Patrząc na wiązkę przewodów, Home z trudem od siebie odsuwał nieprzyjemne wrażenie, że jest ona jakimś żywym tworem.

Czy myślenie oznaczało równocześnie życie? Gdzie przebiegała ta cienka granica między świadomością a jej brakiem?

A jeśli ta potężna rzecz, w której wnętrzu chodzili, była świadomą istotą, to czy była również świadoma ich obecności? Po skórze między łopatkami Home'a przebiegł dreszcz, kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę.

— To nic innego jak tylko cholernie wielki, przerośnięty komputer — powiedział głośno, zarówno po to aby uspokoić siebie, jak i swoich towarzyszy.

Zdawało się, że to stwierdzenie wcale nie uspokoiło towarzyszących mu obcych. Na purpurowej twarzy D'quara ani przez chwilę nie pojawił się żaden wyraz, lecz Home miał wrażenie, że gargulec poruszał się powoli,

niechętnie, rozglądając się co chwila na boki i nic nie mówiąc. Pozostali, zwłaszcza Lurgh i jego włochaty, potężny sobowtór z Allamar, również byli wyraźnie zaniepokojeni. Tym prostym humanoidom, którzy nie mieli większego pojęcia o nauce, konieczność wejścia tutaj wcale nie przypadła do gustu.

Słowa Home'a również jemu samemu nie dodały zbyt wielkiej otuchy. Był w stanie stłumić w sobie tę na wpół przesądną niechęć, którą odczuwał, ale nie potrafił ukryć faktu, że ten kolosalny komputer - czy nazywać go mózgiem, żywym, czy też nie - dawał ludziom, którzy go zbudowali, ogromną potęgę, jaką mogli wykorzystać przeciwko swym wrogom. Home coraz bardziej zaczynał rozumieć przerażenie i strach, jakie poczuli Yso i Ewan, w chwili gdy poznali prawdziwą naturę Projektu Vellae.

— Chodźcie — powiedział szorstko do swojej wyraźnie wahającej się, barwnej gromady towarzyszy.

Pod rurą, daleko w dole pod pomostem, na którym stali, znajdował się spód okrągłego, ogromnego silosu.

Home obejrzał się przez ramię na D'quara, który stał niepewnie z jedną wielką, pazurzastą stopą na pomoście, jakby nie podobał mu się pomysł powierzenia swojej ogromnej masy temu kruchemu tworowi.

— Pomyśl tylko, o ile to będzie gorsze dla twoich prawie dziewięciostopowych przyjaciół, takich jak Lurgh — zauważył Home. — Ale skoro już o tym mowa, to wydaje mi się, że lepiej będzie odrobinę zwiększyć odstępy między nami. Nie idź za mną zbyt blisko i niech dwóch naszych ciężkich kolegów, nie idzie naraz ze sobą.

Ruszył wąską ścieżką, mocno przytrzymując się lin.

Pomost nie był sztywny. Kiedy D'quar ruszył za nim, poczuł lekkie kołysanie. Liny, uplecione z neutralnego, niemagnetycznego plastiku, skrzypiały i podskakiwały. Home zacisnął zęby i szedł dalej, starając się nie myśleć o tym, jak daleko jest do podłoża, oraz o nieuniknionych alarmach, które by się uruchomiły, gdyby wszyscy spadli z hukiem na dno gigantycznego silosu.

Trudno było w tym punkcie stwierdzić, jak daleko się zaszło, i jak daleko trzeba jeszcze będzie iść. Home obejrzał się raz czy dwa i zobaczył swoją małą bandę potworów wszelkich rozmiarów, wszelkich kolorów, wszelkich kształtów, ciągnącą się za nim w długim rzędzie, stąpającą z jak największą ostrożnością - dwóch włochatych olbrzymów rozdzielonych było dużymi odstępami i szli zgięci niemal na czworakach.

— Legia Cudzoziemska Home'a — pomyślał kwaśno i zaraz potem trochę się zawstydził tej myśli. Humanoidzi z własnej woli wracali do miejsca swych męczarni, z którego niemal cudem udało im się uciec, a to wymagało dużej odwagi.

Za ciągnącą się linią ich kolumny, pomost kończył się łukiem, spod którego wyszli. Kiedy obejrzał się do tyłu ponownie, łuk skurczył się w oddali, niemal do rozmiarów niewielkiego punkcika.

Było w tym coś hipnotyzującego i przerażającego, jakby wpadło się w jakieś odkształcenie przestrzeni bez początku ani końca, i które miało

trwać wiecznie, aż cały kosmos zapadnie się w nicość i zacznie przygotowywać się do rozpoczęcia kolejnego cyklu.

Wręcz się ucieszył, kiedy natknął się na odgałęziającą się boczną linię, w miejscu gdzie smukła wiązka włókien oddzielała się od macierzystego pnia i skręcała do ogromnej komory. Znajdowało się tu również odgałęzienie pomostu i mógłby wejść do wnętrza tej sekcji mózgu, ale zatrzymał się tylko na tyle długo, aby zobaczyć, że jest ona wypełniona rzędami lamp elektronowych, tranzystorów i kilometrami przewodów. Ciągle migotały w niej jakieś niewielkie światełka, a ciche brzęczenie i klikanie przełączników, brzmiało upiornie, jakby ktoś do siebie mamrotał jakieś niemożliwe do rozpoznania słowa.

Minęli kilka takich ogromnych komór. Home pomyślał o tym, ile ich jeszcze musi być we wnętrzu góry i jak głęboko oraz daleko musi sięgać, rozciągająca się we wszystkie strony pajęczyna bliźniaczo podobnych splotów przewodów, tych ścieżek nerwowych, i komorowych komórek mózgu. I ciągle ją rozbudowują, aby była jeszcze większa, pomyślał. Pomyśleć tylko, co tacy ludzie jak Ardric mogliby zrobić z taką potęgą.

Zastanawiał się, jak Yso, Ewan oraz podążający z nimi obcy, radzą sobie po swojej stronie góry.

Był pewien jednego. Jeśli nie uda się załatwić obu zaplanowanych rzeczy, daleko ważniejszym zadaniem niż oczyszczenie własnego imienia, było zniszczenie tego wielkiego, przyczajonego we wnętrzu góry olbrzyma. Na dłuższą metę, jak przypuszczał, jedno i tak będzie pociągać drugie, nawet jeśli on sam może tego nie doczekać.

Z hipnotycznej sieci przed nim wyłonił się łuk bardzo podobny do tego, jaki pozostawili za sobą. To musiał być główny ośrodek przekaźnikowy, opisany przez wziętego do niewoli strażnika.

Home uniósł ostrzegawczo rękę. W całkowitej ciszy ruszył do przodu, a pozostali podążali za nim jak duchy.

W tym łuku widać było drzwi. Home je otworzył.

W środku znajdowało się duże, okrągłe pomieszczenie otoczone panelami kontrolnymi. Dwóch ludzi, najwyraźniej inżynierów, bez mundurów, zajmowało się swoimi obowiązkami, sprawdzając, czy strumienie impulsów w tej części mózgu przepływają prawidłowo, czy nigdzie nie ma żadnej blokady ani przeciążenia. Kiedy Home wszedł przez drzwi, unieśli do góry głowy z zaskoczeniem, a jeden z nich zapytał:

— Czy są jakieś problemy na linii? Instrumenty nie wskazywały…

— Tak — oznajmił Home. — Są problemy. Ale nie takie, o jakich wspomniałeś. D'quar!

Wyciągnął skradziony pistolet z kabury munduru, który miał na sobie, i powiedział do inżynierów:

— Stać i nie ruszać się, a nic wam się nie stanie.

Gdy D'quar, olbrzymi Lurgh i reszta barwnej ekipy wlali się przez drzwi wejściowe, obaj inżynierowie stali bez ruchu. Ich oczy zrobiły się wielkie, a twarze białe jak ściana.

— Czy to powstanie niewolników? — spytał jeden z nich.

Home odpowiedział mu z nadzieją w głosie:

— Mam taką nadzieję.

W odpowiedzi inżynier odważnie, lecz nieskutecznie, rzucił się do komunikatora. Lurgh był bliżej od niego, i trzymetrowy olbrzym złapał go i pacnął otwartą dłonią w bok głowy. Po tym doświadczeniu, jeniec ani drgnął.

Drugi z inżynierów pozwolił się związać bez oporu. Podczas gdy D'quar się tym zajmował, Home otwierał kolejne włazy.

Trzy z nich prowadziły do głównych tuneli, takich jak ten, z którego właśnie wyszli. Czwarty wychodził na windę.

Jeśli strażnik, którego schwytali, mówił prawdę, windą zjeżdżało się do centralnego pomieszczenia administracji.

Home wziął głęboki oddech i zwrócił się do swoich niespokojnie wyczekujących obcych towarzyszy.

— No cóż — stwierdził — możemy spróbować zjechać.

Wcisnęli się do środka, a Home nacisnął przycisk. Okrągła komora windy z zawrotną szybkością zjechała na dół szybu.

Kiedy Home usłyszał pierwszy jęk poduszki powietrznej, powiedział:

— Wyskakujcie jak najprędzej z windy i uzbrójcie się zaraz jak to tylko będzie możliwe.

D'quar spytał:

— A co zrobimy, jeśli pozostali nie przybędą?

— W takim wypadku — rzekł Home — po prostu będziemy musieli się utrzymać, dopóki się nie pojawią.

Odważne słowa, pomyślał. Problem w tym, że wcale tak nie myślał. W ciągu ostatnich kilku dni, zmuszony był walczyć więcej niż wcześniej przez całe swoje życie, lecz nadal mu się to nie podobało i nie sądził, aby kiedykolwiek miało mu się to zacząć podobać. Jego towarzysze byli jednak zdecydowani już na wszystko i równie dobrze mógł robić dobrą minę do złej gry.

Winda zwolniła i zatrzymała się, a drzwi się rozsunęły.

Przed windą znajdował się wąski korytarz z rzędami identycznych drzwi po obu stronach. W korytarzu nikogo nie było. Home szybko poprowadził swych towarzyszy na jego drugi koniec.

Tutaj, w sercu góry, wydrążono kolistą przestrzeń o średnicy około trzystu stóp i niemal takiej samej wysokości. Całą tę kolistą przestrzeń wypełniały budynki ze stali i szkła, z wyjątkiem samego środka i ulic, które od niego odchodziły promieniście, dzieląc budynki na oddzielne kwartały.

Ulice, jak wiedział Home, połączone były z wejściami z Rillah, z prywatną bazą, w której lądowały statki Vellae z niewolnikami, a także z galeriami i ośrodkami pracy na obrzeżach mózgu. Z jednej z tych ulic, mieli się wyłonić prowadzeni do ataku przez Yso i Ewana, pozostali niewolnicy.

Nie było jeszcze widać żadnego ich śladu. Ale w centrum rozległ się jakiś alarm. Za szklanymi ścianami budynków technicy obsługujący liczne urządzenia wejścia-wyjścia mózgu odwracali się od swojej pracy i spoglądali na plac w centrum. Wszędzie zaczął wzmagać się hałas i ludzie - technicy i naukowcy - zaczęli uciekać, śpiesząc w bezpieczne miejsce. Z różnych kierunków schodzili się strażnicy w czerwonych mundurach, znikając w jednej konkretnej ulicy, która biegła po lewej stronie Home'a.

Kilku z nich wyszło z budynku z szyldem „Biuro Straży Projektu”. Znajdował się on niedaleko centralnego placu, po prawej stronie Home'a.

Mięśnie Home'a napięły się, a dawna nienawiść zapłonęła w nim tak mocno, że poczuł się niezwyciężony.

— Tam jest Ardric — powiedział do swoich towarzyszy. — Schwytajmy go.

Wybiegł na plac.

Nagle ruch ludzi ustał, kiedy tylko zauważyli jego postać w czerwonym mundurze, a potem potworną grupę obcych, która za nim podążała. Ktoś wrzasnął przerażonym głosem, że niewolnicy już tutaj są. Nieuzbrojeni, nieumundurowani ludzie zaczęli uciekać we wszystkie strony, siejąc na placu dzikie zamieszanie, a strażnicy przestali podążać w poprzednim kierunku i odwrócili się, aby otworzyć ogień do małej grupki Home'a. Na razie jednak nie mogli skutecznie strzelać, nie zabijając wielu ze swoich towarzyszy. Zawahali się więc, a tymczasem Home dobiegł do drzwi Biura Straży, gwałtownie je otworzył i wpadł jak bomba do znajdującego się za nimi pomieszczenia, zaś gromada obcych wlała się do środka za nim.

W tym pomieszczeniu umiejscowione było centrum łączności Straży. Operatorzy pochylali się w napięciu nad swoimi urządzeniami, nasłuchując wrzawy głosów, przekazując rozkazy i instrukcje wydawane przez ich dowódcę.

Dowódca, ubrany był w czerwony mundur straży, ale poza tym nie zmienił się specjalnie od czasu, kiedy Home widział go po raz ostatni, na pokładzie *Vega Queen*. Był człowiekiem o czysto wyrzeźbionej, inteligentnej twarzy, odrobinę za szczupłej i okrutnej koło ust, oraz o zbyt twardych, przypominających krzemienie, oczach. Obecnie nie próbował sprawiać obecnie wrażenia uprzejmego, lecz pełen był podszytego niepokojem gniewu, zaatakowanego człowieka.

Home rzucił się na niego w chwili, kiedy Ardric uniósł głowę.

ROZDZIAŁ XV

Home'owi mignęła przelotnie twarz Ardrica, zaskoczonego, z nazwiskiem Home'a pojawiającym się na jego wargach, i sięgającego po broń. Potem jego postać zatonęła gdzieś wśród tłumu zdumionych operatorów, a Home ruszył za nim, rękoma, kolanami, całym ciałem zaciekle walcząc z tłumem, aby oddać Ardricowi choćby jakąś drobną część tego, na co sobie zasłużył.

Przetaczali się i kotłowali po podłodze z zawziętym milczeniem, wśród szaleńczego hałasu operatorów i skaczących dokoła postaci obcych, którzy po kolei obezwładniali swoich przeciwników. Wszędzie panował przerażający hałas. Z komunikatorów krzyczały metalicznie brzmiące głosy, domagające się wyjaśnień, co się dzieje.

D'quar złapał za mikrofon i ryknął swym ochrypłym, ciężkim głosem:

— Zdobyliśmy Centrum, oto co się dzieje! Znaleźliście się pomiędzy naszymi siłami… — po czym wyryczał swój triumf i nienawiść do niewidocznych strażników, którzy gdzieś w zewnętrznych galeriach walczyli z jego braćmi niewolnikami. Home, ledwie zdając sobie sprawę z tych wszystkich nieistotnych w tej chwili rzeczy, pomyślał, że D'quar zbyt wcześnie zaczyna się cieszyć. Nie dbał jednak o to. Liczyło się tylko to, żeby w końcu dostać w swe ręce Ardrica.

Ardric walczył jak szalony. Usta Home'a były pełne krwi, twarz miał rozciętą, a ciało posiniaczone, ale to też było w porządku. Czuł się naprawdę świetnie. W końcu złapał szyję Ardrica w zgięcie przedramienia i zaczął naciskać, naciskać…

Dwie ogromne, owłosione dłonie rozluźniły uścisk Home'a z taką łatwością, jakby był małym dzieckiem. Druga para dłoni zabrała Ardrica z jego rąk i trzymała go, na wpół żywego, z policzkami pokrywającymi się już sinymi plamami.

Home popatrzył lekko oszołomiony w twarz Lurgha i jego olbrzymiego towarzysza, a Lurgh przypomniał mu:

— Chciałeś, żeby ten człowiek żył. Pamiętasz?

Home podniósł się chwiejnie, wciąż oszołomiony.

— Tak — opamiętał się. — Tak, dopilnuj, żeby nigdzie nie uciekł.

Centrum łączności znalazło się w rozsypce. Operatorzy byli ranni, martwi lub uciekli. Około połowa obcych była już w tej chwili uzbrojona, a pozostali przeszukiwali wewnętrzne pomieszczenia, w poszukiwaniu broni. D'quar wciąż ryczał z niezachwianym spokojem, jego twarz gargulca była w tej chwili nie do poznania, zaś Home desperacko starał się ich wszystkich uspokoić, zaprowadzić jakiś porządek, zanim nastąpi nieuniknione.

Strażnicy na zewnątrz rozpoczęli kontratak.

Wielkie frontowe okno wybuchło w fontannie szkła. Natychmiast wszyscy zaczęli uciekać w poszukiwaniu schronienia. Postacie w czerwonych mundurach wlały się do środka, strzelając z broni. Home, ukryty za jakimś elementem wyposażenia komunikacyjnego, odpowiedział ogniem, podobnie jak wszyscy obcy posiadający broń. Rozpalone wiązki promieni zaczęły błyskać i z trzaskiem rozbijać się o ściany. W ciągu kilku sekund pomieszczenie wypełnił dym oraz zapach spalenizny. Niewolnicy, którzy przeszukiwali wewnętrzne pomieszczenia, wkrótce wrócili z bronią i zaczęli strzelać zza drzwi. Używali jednak nieznanej im broni, a strażnicy, wyszkoleni do walki, przewyższali ich liczebnie.

Ardric, przyciśnięty przez ogromne cielsko włochatego przybysza z Allamar, warknął z wściekłą satysfakcją:

— Moi ludzie wybiją was wszystkich do nogi.

I Home wiedział, że ma rację.

Gdzie byli Ewan, Yso i inni niewolnicy? Co się stało w zewnętrznych galeriach?

Jeśli wkrótce nie przybędą z pomocą, nie będzie potrzeby, aby w ogóle się tu pojawiali.

Strzelał do czerwonych mundurów, krztusząc się dymem i smrodem śmierci.

Wtedy nagle rozległ się głęboki, odległy dźwięk, podobny do szmeru wiatru albo szumu morza. Robił się coraz silniejszy i to narastał szybko, zaś gdy atakujący centrum komunikacji strażnicy usłyszeli go, stracili pewność siebie, a ich ogień osłabł.

Z ulicy na lewo od placu wystrzeliła kolumna złożona z pół tuzina jednoosobowych i z dwu większych stożków. Strażnicy, którzy atakowali ludzi Home'a, wybiegli im naprzeciw, machając rękami. Po chwili z ulicy wybiegli kolejni ludzie w czerwonych mundurach. Niektórzy z nich byli ranni. Inni zatrzymywali się co kilka stóp, aby odwrócić się i wystrzelić, a potem znowu zaczynali uciekać. Zmieszali się z strażnikami zebranymi na placu i przez chwilę kłębili się w kółko, a stożki zawisły nad nimi. Dwa uzbrojone stożki również prowadziły ogień wzdłuż ulicy.

Gdzieś spomiędzy budynków wystrzeliła wiązka światła i odrzuciła jeden ze stożków, który zatoczył się do tyłu, a jego osłony grawitacyjne stopiły się. Wybuchła wymiana sporadycznych strzałów zarówno w powietrzu, jak i na ziemi. Wtedy ludzie w czerwonych mundurach zerwali się do ucieczki, stożki strażników podążyły za nimi, zaś z ulicy wyłonił się dwuosobowy stożek, za sterami którego siedziała Yso, z rozwianymi żółtymi włosami i Fife'em pochylającym się koło niej nad panelem broni, strzelającym jak demon i najczęściej chybiającym. Za nią podążał sznur chybotliwie poruszających się stożków, obsadzonych przez wszelkiego rodzaju istoty, na tyle humanoidalne aby mogły się w nich zmieścić, oraz gromada latających zielonych, futrzanych kul, trzymających w mackach broń.

Ulicą pod nimi nadciągała armia niewolników, pozaziemski legion niewiarygodnych, pięknych, brzydkich, groteskowych, śmiesznych, przerażających istot, połączonych w niezamierzone braterstwo wspólnym pragnieniem wolności i nienawiścią do Vellae. Zostali oni sprowadzeni z

najodleglejszych planet Obrzeży i zapędzeni do nieludzkiej pracy niczym robocze zwierzęta. Teraz nadeszła godzina ich zemsty i nie było w nich ani krzty pobłażania czy też litości. Byli żądni krwi i nawet strzelające im w twarze pistolety nie były w stanie ich powstrzymać. Na ten widok, strażnicy stracili resztki odwagi i zaczęli się cofać, coraz szybciej i szybciej.

Obcy wlali się na plac. Nadciągali niczym wezbrana rzeka, która rozszerzała się, wzbierała i wypełniała całą dostępną przestrzeń, a ludzie w czerwonych mundurach byli roznoszeni w puch.

W centrum łączności zapadła dziwna cisza. Home wydawał się nią niemal ogłuszony. Stał nieruchomo, kręcąc głową, chwiejąc się lekko z nagłym osłabieniem ulgi. Nie mógł uwierzyć w to co właśnie się stało, ale to była prawda. Wygrali.

A przynajmniej, jak na razie, wygrali.

Wybiegł na plac z garstką pozostałych przy życiu towarzyszy, a tuż obok niego trzymetrowy obcy niósł Ardrica, bezradnego w uścisku jego potężnych rąk.

Podleciał Chell i opadł tuż nad nich.

— Lepiej zdejmij ten czerwony garniturek, Home — powiedział. — Ci tutaj nie są w nastroju, aby pytać, kto w nim jest, zanim cię zabiją.

Rozejrzał się.

— Gdzie jest D'quar? To jego wrzask zmienił bieg wydarzeń. Niektórzy z nas słyszeli przez radia strażników, jak wrzeszczy, że zająłeś Centrum Administracyjne, a strażnicy zaczęli się wahać i to przesądziło sprawę.

Fioletowy gargulec uniósł głowę, jeszcze bardziej odrażającą z powodu oparzeń i plam zastygłej krwi, i uśmiechnął się żałośnie.

— To nie była do końca prawda — przyznał.

— Ale zadziałało — odparł Chell. Radośnie owinął macki wokół Home'a i gargulca. Wtedy coś sobie przypomniał i poinformował ich ze smutkiem. — Ewan nie żyje. Powalił pierwszego strażnika i zapoczątkował powstanie, ale potem go zabili.

Ardric nie odezwał się ani słowem, odkąd Lurgh oderwał go od Home'a. Przemówił dopiero teraz, stojąc bezradny jak dziecko w uścisku tych potężnych ramion, z twarzą białą z wściekłości i strachu przed tłumem nieludzkich ciał, pokrytych futrem i łuskami, owłosionych i nagich, i przed złowrogimi, nieludzkimi oczami, które spoglądały na niego, łaknąc jego życia.

— Udało ci się już dwukrotnie mnie oszukać, Home — oznajmił. — Miałeś zginąć w katastrofie, a kiedy usłyszałem, że wyruszyłeś do Rillah, opuściłem Projekt, żeby upewnić się, że nie uda ci się przedostać.

Zdzierając z siebie czerwony strój, Home nawet na niego nie patrzył. Nie ufał sobie, że zdoła się opanować, jeśli to zrobi.

— Tym razem nie uciekniecie — pienił się dalej Adric. — Żaden z was. — Uniósł głos, tak żeby wszyscy zebrani dokoła mogli dobrze go słyszeć. — Alarm został już ogłoszony. Vellae już się tutaj zbliżają, prowadząc ze sobą wszystkich ludzi, jakich zdołali zebrać. Rozszarpią was na strzępy.

Jeden z obcych zawołał:

— Ja go znam!

Był to chudy stwór o żółtawej sierści, pokryty na grzbiecie łuskami w kształcie diamentów. Jego oczy błyszczały, odbijając światło wieloma fasetami, wpatrując się w Ardrica z bliska.

— To jest przywódca — oświadczył, jego głos był wysoki i czysty, niósł się daleko z cichą, uporczywą siłą wiejącego wiatru, a szorstki hałas i gwar zaczęły cichnąć, kiedy ludzie go usłyszeli. — To jest Ardric, przywódca, przywódca, ten, który mówił nam, kiedy i jak mamy umrzeć.

Jego głos brzmiał niemalże jak uporczywy zaśpiew, powtarzający frazę: „Przywódca". I w jednej chwili cały tłum znów zaczął krzyczeć, twardo i gniewnie.

Zaczęli się zbierać, tworząc ścianę groteskowych masek i dziwacznych ciał, napierającą z coraz większą siłą na Ardrica.

Home stanął przed nimi.

— Czekajcie! Ten człowiek musi przeżyć. On…

— Przyleciał statkiem, który zabrał mnie z mojej planety — odezwał się kolejny głos, wyrywając się z narastającego gwaru. — Widziałem go w naszej wiosce. Przyszedł ze statku i powiedział handlarzom niewolników, jak nas zabrać.

A więc to tam, pomyślał Home, Ardric zdobył doświadczenie w pilotażu - na statkach niewolniczych Vellae. No cóż, oczywiście.

To była tylko przelotna myśl. Ściana ciał napierała coraz bardziej. Wyciągnął pistolet.

— Czekajcie! — krzyknął i oddał strzał w dach.

Zatrzymali się i wpatrywali w niego, zaskoczeni, ale nie wystraszeni, a on widział w ich twarzach, że równie dobrze mogą go za chwilę włączyć w swoją żądzę zemsty. Był człowiekiem. Fakt, że był też Jimem Home, mógł być w tej chwili nieznany większości z nich i nie sądził, aby ich to specjalnie obchodziło.

Ardric się roześmiał. To był dziwny śmiech, ale szczery.

— Myśl szybko, Home!

— Zabierz go z powrotem do środka, jeśli dasz radę — powiedział Home do Lurgha. Zaczęli się cofać, a Chell, który nerwowo krążył nad nimi, nagle odskoczył.

— Zabijemy tego sukinsyna — oznajmił żółtawy, łuskowaty, swoim łagodnym, dźwięcznym głosem. I znowu ruszyli.

Ardric rzucił złośliwie:

— Lepiej otwórz ogień, Home. Nie masz zamiaru strzelać? Zabiją mnie i nigdy nie postawisz mnie przed sądem.

Przerwał mu Lurgh.

— Uważaj, Home. On by chciał, żebyś to zrobił. Jeśli zabijesz któregoś z nich, reszta…

Chell nadleciał z powrotem, krzycząc piskliwie.

— Zbliża się Yso! Córka Morivenna!

Latał we wszystkie strony nad tłumem, wołając imię Yso, a Home zobaczył, że inni przedstawiciele jego rasy robią to samo. Po chwili tłum zaczął szukać Yso, odwracając swą uwagę od Ardrica, oraz rozległ się dziki, ochrypły wiwat, który stawał się coraz głośniejszy i bardziej narastał w siłę.

Lurgh wykorzystał okazję, by zaciągnąć Ardrica z powrotem do zniszczonego centrum łączności i ukryć go przed wzrokiem zebranych niewolników. Stożek Yso pojawił się w górze, nie mogąc wylądować w kłębiącym się tłumie. Jego osłona była otwarta. Krzyknęła do Home'a z góry, wodząc dokoła dzikim wzrokiem i niemalże bliska histerii.

— Dokonaliśmy tego, Home!

Odkrzyknął do niej szorstkim głosem, który miał ją wytrącić z tego stanu.

— Niczego jeszcze nie zrobiliśmy, poza tym, że zabiliśmy paru strażników i schwytaliśmy kilku innych. Vellae nadciągną z pełną siłą! Użyj swojego wzmacniacza i powiedz temu tłumowi, żeby bronił wejść przed Vellae!

Wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem go posłuchała. Podniecenie hordy obcych nieco osłabło, ale nie zrezygnowali ze swych krwiożerczych zamiarów.

— Kolejni Vellae do zabicia — zawołał jeden z włochatych olbrzymów. — Chodźcie, bracia!

Kiedy horda się przerzedziła, śpiesząc we wszystkie strony, aby zablokować wejścia, Yso zdołała wylądować stożkiem na placu. Dotarła do Home'a, a wszelkie emocje triumfu ją opuściły.

— Czy mamy szansę powstrzymać Vellae? — spytała.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie na długo. My - niewolnicy - tym razem zaskoczyliśmy strażników. Zaskoczyliśmy ich, zanim zorientowali się, co się dzieje. Ale następnym razem zaskoczenia już nie będzie. Humanoidzi są odważni, ale jak długo ich odwaga wytrzyma wobec przewagi liczebnej i silniejszego uzbrojenia?

Yso powiedziała po chwili:

— Home, jeśli się z tego nie wydostaniemy, to trudno. Ale mózg Vellae musi zostać zniszczony, niezależnie od tego, czy uda nam się uciec, czy nie.

Home skinął głową.

— Też tak myślę. Ale pytanie brzmi… czy damy radę to zrobić, w tak ograniczonym czasie?

— Oczywiście, jeśli poprzecinamy kable nerwowe i zniszczymy centrale przekaźnikowe… — zaczęła mówić, ale Home pokręcił przecząco głową.

— Jak myślisz, ile czasu zajęłoby Vellae naprawienie takich szkód? Kilka dni, może kilka tygodni… i urządzenie znów będzie działało.

— Nie ma więc na to sposobu?

— Może jest pewien sposób — wtrącił się Fife. Mały kosmita stał koło Home'a, a jego żółte oczy płonęły jak węgle. — To będzie okrutny cios zadany Vellae. Czy zginiemy, czy nie, ich wspaniałe dzieło zostanie zniszczone przez ich niewolników.

— Ale jak to zrobić? — spytał Home. — Mówiłeś, że znasz sposób…

— Och, nie — odparł Fife — Nie powiedziałem tego, bo nie znam się na ludzkiej nauce, nie wiedziałbym, jak to zrobić. Ale jest ktoś, kto wie i mógłby nam powiedzieć.

— Kto?

A kiedy Fife odpowiedział na ich pytanie, Home zdał sobie sprawę, że jego propozycja była tak bardzo niesamowita, że on sam nigdy by na nią nie wpadł, podczas gdy małemu obcemu się to udało.

— Mówiliście, że mózg nie ma własnej woli, że nie żyje i oddaje swoją ogromną wiedzę na służbę swym ludzkim panom — wyjaśniał Fife. — Zapytajmy więc sam mózg, w jaki sposób możemy go zniszczyć.

ROZDZIAŁ XVI

Czas mijał. Home nawet nie zauważył, jak szybko. Prawdopodobnie był to okres na tyle krótki, aby mierzyć go w minutach, ale wszystko zdawało się trwać latami. Na placu na zewnątrz grupki niewolników wciąż przechadzały się, włóczyły i skakały wśród rozbitych szyb, szukając kogoś, kogo jeszcze mogłyby zabić. Większość obcych zgromadziła się jednak w dwóch głównych tunelach prowadzących od strony Rillah i portu. Walki już się rozpoczęły.

W pomieszczeniu, jednym z wielu w centrum operacyjnym, w których do mózgu przekazywane były dane i problemy, a z powrotem odbierane odpowiedzi, nad urządzeniami wejścia-wyjścia siedział bladolicy technik. Trzeba było w stosunku do niego zastosować pewną perswazję, ale w końcu zgodził się zakodować pytanie: Jak można cię najszybciej zniszczyć? Zwrócił uwagę na to, że zaimek „cię" nie ma dla mózgu znaczenia, oni zaś z kolei stwierdzili, że dobrze by było, gdyby znalazł jakiś sposób wyrażenia tego pytania, w sposób mający znaczenie dla komputera, i że lepiej będzie, jeśli zrobi to szybko.

Zrobił to i problem został wprowadzony. Teraz czekali - Home, Yso, Chell oraz Ardric, bezpiecznie zakuty w kajdanki i pod strażą. Gdzieś daleko, w swych potężnych kryptach i komnatach, mózg chłodno rozważał problem własnej zagłady.

Myśl o tym co chcieli zrobić - o celowym i rozmyślnym zniszczeniu tego ogromnego narzędzia wiedzy - wstrząsnęła Homem. Zniszczenie inteligencji, która mogłaby dać ludziom odpowiedzi na największe zagadki wszechświata, wydawała się być niemal zbrodnią, gorszą niż morderstwo. Przez chwilę kusiło go, by powstrzymać ich przed zrobieniem tego.

Legenda głosiła jednak, że kiedyś pewnego człowieka skusiło Drzewo Wiedzy, czego później bardzo żałował. I pewne było, że nadejdzie dzień, w którym wielu ludzi, wiele planet również gorzko by żałowało, gdyby oni w chwili obecnej powstrzymali się od działania. Żelazne prawa Federacji, zakazujące tworzenia elektronicznych mózgów o zdolności przekraczającej określone granice, nie powstały na bazie czystej teorii. Już trzykrotnie w przeszłości, planety takie jak Skereth, które potajemnie stworzyły potworne, bezmyślne inteligencje, podobne do tej tutaj, przejmowały potęgę i broń opracowaną przez swoje wytwory i stawiały całą galaktykę w ogniu, zanim ich ambicje zostały powstrzymane. To samo mogłoby się powtórzyć, gdyby inteligencja gnieżdżąca się w tej wydrążonej górze nie została unicestwiona.

Home wpatrywał się w okno i czekał na odpowiedź mózgu, mocno zatroskany.

Jakieś bardzo długonogie stworzenie o śnieżnobiałej skórze i małym grzebieniu rogów, nadbiegło potężnymi skokami przez plac, wpadając do budynku. Home wyszedł mu na spotkanie.

— Przynoszę wieści od D'quara — powiedział stwór. — Mam przekazać, że Vellae atakują nas dużymi siłami, i z nimi moglibyśmy jeszcze walczyć, ale mają też bardzo ciężką broń, która wypełnia całe sale ogniem, a z nią już walczyć nie damy rady. Mam powiedzieć, że jeśli nie znajdziemy innych dróg ucieczki stąd, wszyscy zginiemy, oraz że powinniśmy je znaleźć szybko. Bardzo szybko.

Home wskazał na biuro inżynieryjne po drugiej stronie placu, gdzie Fife i wybrana grupa obcych wydobywali informacje z map oraz kilku niechętnych ludzi.

— To właśnie robimy. Powiedz D'quarowi i reszcie, żeby wytrzymali tak długo, jak tylko zdołają.

Yso zawołała go, i wrócił do biura. Maszyna wydrukowała jakąś oszałamiającą masę symboli. Home polecił technikowi:

— Przeczytaj to!

Technik wybuchnął histerycznym śmiechem.

— Bomba atomowa o mocy 80 megaton umieszczona w miejscu wyznaczonym w pozycjach…

Ardric również się roześmiał.

— Równie dobrze możesz od razu się poddać, Home. Nie zdołałbyś zniszczyć mózgu, nawet gdybyś miał mnóstwo czasu, a go nie masz. Załatwiliśmy cię.

Home powiedział spokojnie do technika:

— Spróbuj jeszcze raz. Zastąp słowo „zniszczony" innym słowem - czymś oznaczającym maksymalne uszkodzenie.

Technik zawahał się. Chell wyciągnął kilka macek, i ich jeniec drgnął oraz zaczął pospiesznie perforować taśmę.

Wgrała się do maszyny i znowu czekali.

Pierwsi maruderzy pojawili się na placu, wycofując się z linii walki.

Fife wyszedł z sekcji inżynieryjnej ze zwiniętą mapą w ręku. Przybiegł do Home'a i towarzyszy.

— Są stąd inne wyjścia — powiedział. — Spójrzcie tutaj. — Rozłożył mapę na podłodze. — Niektóre z oryginalnych otworów, w miejscach gdzie Vellae zaczynali pracę nad mózgiem, zostały pozostawione otwarte jako wyjścia ewakuacyjne. Inne zablokowali. — Wskazał na mapie. — Widzicie? Tu i tu, są wyjścia.

Home zrozumiał o co chodzi.

— W porządku — powiedział — tylko że musielibyśmy znowu przejść przez mózg, żeby się do nich dostać.

Fife wyjrzał przez okno. Grupy maruderów rosły i zbliżały się coraz szybciej.

— Nie sądzę, byśmy mieli wielki wybór — zauważył.

Maszyna z klikaniem wyrzuciła wiadomość. Chell owinął koniec jednej ze swych jaskrawoczerwonych macek, niczym naszyjnik wokół gardła technika. Człowiek ten wyglądał na mocno udręczonego, lecz zrezygnowanego. Podniósł wiadomość i przeczytał ją.

— To jest lista krytycznych przekaźników i wyłączników bezpieczeństwa do otwarcia, oraz precyzyjny wzrost napięcia niezbędny do przepalenia wszystkich obwodów.

Home'a przeszył dreszcz. W lodowatym spokoju, z jakim na rozkaz potężny komputer obliczył możliwości swej własnej zagłady, było coś tak nieludzkiego, że aż niesamowitego. Ale przecież, choć nazywano go mózgiem, była to tylko pozbawiona woli i osobowości maszyna, pozbawiona jakiejkolwiek świadomości własnego ja. Liczył, nic więcej - i obliczył kwestię swojej własnej zagłady równie beznamiętnie, jak wszystko inne co mu kazano.

— Do dzieła — polecił Home. — Fife, dopilnuj, żeby zapewnić temu technikowi wszelką możliwą pomoc w realizacji naszego zadania i wyślij posłańców do tuneli, aby kazali ludziom zacząć się wycofywać. Chell…

Chell owinął mackami Ardrica. Home'owi przemknęła przed oczyma twarz Ardrica, kiedy przestępca został uniesiony przez stworzenie z Chorann, i po raz pierwszy dostrzegł w niej rozpacz, co napełniło go ciepłym, dobrym, radosnym uczuciem. Jedną ręką wziął mapę, a drugą chwycił za ramię Yso.

— Chodźmy.

Niewolnicy coraz szybciej wyłaniali się z dwóch ulic prowadzących do głównych wejść. Wielu z nich było rannych. Wszędzie dokoła panował chaotyczny zgiełk i ryk, przerywany złowieszczymi hukami. Fife i technik, ze wszystkimi ludźmi, jakich udało im się zebrać, już zniknęli.

Ardric zaczął się zaciekle szarpać.

— Nigdy nie uda wam się wydostać z tej góry. Popatrzcie na swoich sprzymierzeńców, uciekajcie! Vellae są tuż za nimi!

— Nie dość blisko — odparł mu Home. — A przynajmniej nie na tyle blisko, jak mi się wydaje. — Uśmiechnął się do Ardrica z radością szczęśliwego człowieka. — Może nas wszystkich dopadną i zabiją, ale nie powstrzymają Fife'a, już nie. Mózg jest już załatwiony, Ardric. Cała wasza ciężka praca, mnóstwo zniewolonych i martwych ludzi, ten wasz cholerny spisek, ja, Morivenn i *Vega Queen* - wszystko to na nic, Ardric. Po prostu strata czasu.

Chell rzucił niespokojnie:

— Home…

— Uśpij go — polecił Home. Chell zacisnął macki, a Ardric tylko sapnął, zaś jego oczy zrobiły się zamglone i obojętne. Home potrząsnął mapą.

— W którą stronę? — spytała Yso, blada i zmęczona, teraz, kiedy po bitwie emocje już opadły.

Home zorientował mapę.

— Za tamtym kwartałem budynków. Chodźmy.

Ruszył biegiem, trzymając jedną ręką dłoń Yso i pomagając jej nadążyć. Chell i Ardric popłynęli za nimi.

Przeszli kawałek ulicą i dotarli do pomieszczenia za Centrum Administracyjnym, gdzie w zakrzywionej ścianie widoczna była rodzima skała góry. Znajdowały się tam masywne drzwi. Home pchnął je i wyszedł na balkon mniej więcej w połowie wysokości ogromnej jaskini. Nie

spodziewał się tego i przez chwilę oszołomiło go wrażenie, jakby ziemia usunęła mu się spod stóp.

To był otwór potyliczny, przez który wszystkie nerwy wielkiej jak góra czaszki łączyły się z głównym centrum sterowania. Z każdego poziomu wychodziły lśniące rury z rdzeniami ze splecionych, jaskrawych wiązek przewodów, wychodzące z otworów w skale i opadające w uporządkowanych rzędach do swych finalnych terminali.

Yso głośno sapnęła i krzyknęła:

— Patrz!

W jednej, drugiej, a potem trzeciej rurze z błyskiem przemknął niczym błyskawica ogień, znikając w skale. Za nim jasna rura stała się nieprzezroczysta, sczerniała, martwa.

Home ponownie spojrzał na mapę.

— Musimy się wycofywać pomostami z obu stron — powiedział i wskazał palcem. — Tam i tam. Te niższe poziomy, oczywiście, zostały zbudowane jako pierwsze, a główne zwoje na tym poziomie łączą się z przejściami do tych starych otworów wyjściowych. No, dobrze.

Zostawił Yso z Chellem i pobiegł z powrotem, aby stawić czoła narastającemu zamieszaniu na placu.

Odwrót niewolników w głównych tunelach zmieniał się w bardziej rozpaczliwą ucieczkę przed bronią Vellae, która była zbyt potężna, aby mogli się z nią mierzyć. Home nakazywał wszystkim napotkanym ruszać właściwą ulicą do pomostów gdzie czekała Yso. Na szczęście wkrótce miał do dyspozycji całą grupę pomocników. Dołączyli do niego D'quar, a niebawem również i Fife.

— Zniszczyliśmy urządzenia sterujące — poinformował go Fife — po tym, jak nasz technik odpowiednio je ustawił, więc nie będą mogli powstrzymać tego, co się rozpoczęło. — Zatarł dłonie, uśmiechając się szeroko.

Ostatni z obcych niewolników przebiegali przez plac. Za nimi, tuż za nimi, zbliżali się pierwsi atakujący Vellae.

Fife stwierdził:

— Czas brać nogi za pas.

Ruszyli z resztą uciekających niewolników, najpierw strzelając za siebie w biegu, a potem już po prostu tylko biegnąc.

W wielkiej jaskini na tyłach, balkon po obu stronach wypełnił się groteskowym strumieniem istot pędzących do dwóch galerii. Całe to miejsce przybrało wygląd jakiegoś upiornego piekła. Ogień błyskał i przepływał rurami, i jednocześnie w wielu miejscach plastikowe rury zaczęły topić się i palić. Powietrze w jaskini było gęste od duszącego dymu. Przerażeni niewolnicy przeciskali się w kierunku tuneli.

Chell unosił się w powietrzu, mocno trzymając Ardrica, a inny z jego rasy podniósł Yso chroniąc ją przed naporem tłumu.

Home zakaszlał i zaczął strzelać do ludzi w czerwonych mundurach, których niewyraźnie dostrzegał już w głębi ulicy.

— Dobrze ci poszło — powiedział do Fife'a. — Do diabła, aż za dobrze.

— No cóż — stwierdził Fife — mleko już się już rozlało. Jeśli przeżyjemy, zobaczymy się w Rillah!

Pobiegł prawą galerią. Home skręcił w lewo. Zagłębili się w tunele umierającego mózgu.

Przepływała przez nie fala, nieludzi, półludzi, lekkonogich i ogromnych, zwinnych i niezdarnych, biegnąc po wąskich, chwiejnych pomostach. A wokół nich i pod nimi, mózg umierał w konwulsjach dymu, ognia i buchających iskrami płomieni.

Zwoje przewodów w rurach nagrzewały się, kiedy prąd z niekontrolowanych przez nikogo generatorów wlewał się do nich przez uszkodzone wejściowe urządzenia ochronne, które już nie działały. Nagrzewały się tak bardzo, że aż izolacja zaczynała się palić, a ogień topiącego się plastiku pędził dalej we wszystkie strony wzdłuż cienkich włókien przewodów.

Ogień mknął przez wszystkie rozgałęzione ścieżki nerwowe, docierając do komórek i komór, w których mózg zapamiętywał, liczył i porównywał informacje, uczył się i kojarzył niemalże jak człowiek. Obwody stapiały się razem; łuki niebieskiego ognia przeskakiwały nad panelami i rzędami rur; uwolnione zostały potworne ilości energii, wypełniające zniszczeniem wykute w skałach komory.

Home biegł po szaleńczo rozkołysanych pomostach, kurczowo trzymając się ich poręczy, bo nic już niemalże nie widział. Co jakiś czas, mijając wyloty kolejnych płonących komór mózgu, dostrzegał gdzieś z przodu, przez gęste kłęby gryzącego dymu, dziwne postaci niewolników biegnących, skaczących, potykających się, desperacko usiłujących prześcignąć falę zniszczenia, która deptała im po piętach z tak oszałamiającą szybkością.

Bo w tej chwili już same galerie płonęły. Plastikowe rury, pajęczyna wiszących lin, które je podtrzymywały, sama kładka - wszystko to topiło się i rozpadało za ich plecami, w dymie i żarze.

Vellae, którzy ośmielili się podążyć za nimi do galerii, wkrótce zostali uwięzieni w jądrze tej szybko przemieszczającej się fali kompletnej destrukcji.

Home usłyszał nagle echo jakiejś druzgocącej eksplozji i poczuł, że cała góra drży, jakby nagle pojęła niepewność konstrukcji swego wydrążonego, przypominającego plaster miodu wnętrza. Home’a ogarnęła ogromna panika i pomknął jeszcze szybciej, popędzany przez ogień za plecami, z niespokojnie dygocącą nad głową górą i płucami pełnymi duszącego dymu.

Po pewnym czasie pojawił się przed nim skalisty korytarz nadal wypełniony kłębami dymu, ale już bez ognia, a wkrótce potem mały zakratowany otwór, przez który nie świeciło już światło pożaru – lecz światło zachodzącego słońca.

Błyskawicznie usunęli blokujące wyjście kraty i zaciekle zmagając się z dymem wydostali się przez otwór na zbocze góry, podczas gdy sama góra trzęsła się i jęczała wokół nich, rozbrzmiewając stłumionymi grzmotami i hukami. Mózg zaplanował własną zagładę jako spokojny proces. Nieostrożne wyzwolenie mocy przez Fife'a zdecydowanie go wzmocniło i przyśpieszyło. Praca samych Vellae, skoncentrowana wyłącznie na skonstruowaniu fizycznej obudowy mózgu i pozostawieniu w tym celu

jedynie skorupy góry, teraz dopełniała jeszcze dzieła zniszczenia. Wyglądało i brzmiało to tak, jakby wszystkie zbudowane wcześniej galerie i korytarze zapadały się do wnętrza góry, poziom po poziomie, spadając w otchłań ogromnego, pustego Centrum Administracji.

Home i jego towarzysze o obcych ciałach zbiegli, w czystym powietrzu i blasku zachodzącego słońca, po niższych partiach zboczy góry, ku bezpiecznej równinie, podczas gdy wyżej ponad nimi, oblicze góry uległo całkowitej przemianie.

ROZDZIAŁ XVII

Wzdłuż portu kosmicznego wznosił się długi szereg statków kosmicznych. Ich podstawy otoczone były światłem, hałasem i ruchem, lecz ich ogromne kadłuby strzelały w bezgwiezdną noc. Ku tym dostojnym wieżom, w długich rzędach, powłócząc nogami, podskakując lub krocząc jak ludzie, podążali ci, którzy mieli znaleźć się na ich pokładach. Światła odbijały się od skóry, łusek i skrzydeł, od obcych twarzy, obcych oczu. Wchodzili do statków bez słowa, lecz z pełną napięcia gorliwością. To właśnie te statki miały zabrać humanoidów do domu, na dziesiątki samotnych planet rozsianych po całych Obrzeżach.

Były to statki Federacji. Potęga i władza Federacji dotarły na Skereth z pełną mocą, natychmiast po ujawnieniu tego druzgocącego odkrycia. Mieszkańcy Skereth powitali ją z otwartymi ramionami, dowiedziawszy się o czynach Vellae, o niewoleniu istot rozumnych oraz o wielkim mózgu wewnątrz góry, który miał dostarczyć Vellae broni do wojen i podbojów.

— Szkoda — powiedział Fife do Home'a i Yso, którzy stali na skraju portu kosmicznego Skambar — że pozostało tutaj tylu poległych. Lurgh…

Lurgh zginął w bitwie w tunelach. W tej walce zginęło również wielu innych humanoidów, zbyt wielu.

Lecz z Vellae zdołała się uratować tylko garstka. Większość z nich, w tym ojciec Ardrica, została w Centrum Administracyjnym, gorączkowo próbując uratować choćby część swego ogromnego dzieła, nad którym tak długo pracowali, i znalazła się w potrzasku, otoczona rozprzestrzeniającymi się dookoła pożarami oraz przywalona lawinami ton spadających skał, które miały miejsce po eksplozji przeciążonych generatorów.

Home zauważył sucho:

— Widzę, że śmierci Ewana najwyraźniej nie zaliczasz do rzeczy, których ci żal.

— Był dobrym człowiekiem — stwierdził Fife. — Dobrze walczył u naszego boku. Niedobrze, że zginął. Ale… był człowiekiem.

Home skinął głową.

— Tak. A ci, którzy zabiorą cię z powrotem do domu, też są ludźmi. Pamiętaj o tym.

D'quar wtrącił swoim powolnym, dudniącym głosem:

— Home ma rację. Nie wszyscy ludzie są źli, Fife.

Jego purpurowa, gargulcowata twarz była bardzo poważna. Home pomyślał: „Wygląda jak jakaś postać z bajki o ograch, ale niech mnie diabli, jeśli go nie polubiłem."

— Prawda — oznajmił Fife. — Prawda. Ale nie obchodzi mnie, czy są dobrzy, czy źli. Zależy mi tylko na tym, żeby zostawili mnie w spokoju.

— Federacja dopilnuje tego — zapewnił Home. — I Fife, pomyśl o tym w długie zimowe noce, jeśli takie masz na swojej planecie. W Federacji ludzie i nieludzie całkiem dobrze ze sobą współpracują. Może nadejdzie dzień, kiedy twoja planeta zechce do nich dołączyć.

W żółtych oczach Fife'a pojawił się błysk ciekawości, gdy odpowiadał.

— Przyleć kiedyś z tym do mnie, Home. Ty i Yso. Może was nie posłucham, ale też nie poszczuję psami.

— Umowa stoi — zgodził się Home.

Udali się w stronę statków, ogromny D'quar górował wyraźnie nad Fifem. Home spoglądał chwilę za nimi i powiedział:

— Może i nie wyglądają tak jak my, ale to dwaj cholernie dobrzy ludzie.

On i Yso już odchodzili, kiedy z ciemności wyłonił się wysoki, ponury człowiek w mundurze kapitana.

— Mówili mi, że tu jesteś — powiedział Wasek. Skinął głową w stronę nadciągającego rzędu kadłubów. — Jeden z tych statków jest mój.

Home stał, spoglądał na niego i nic nie mówił. Cisza się przedłużała i w końcu Wasek powiedział:

— No dobrze, dobrze, bardzo mi przykro i przepraszam. Ale co ja, do diabła, miałem sobie pomyśleć? — Dodał: — W każdym razie to, jak mnie wtedy walnąłeś, powinno ci wszystko trochę wynagrodzić. Szczęka bolała mnie przez wiele dni.

Home burknął:

— I dobrze.

Wasek mruknął coś pod nosem. Powiedział:

— Powiedzieli mi, że zostałeś całkowicie oczyszczony.

— Pod każdym względem, ale nie na papierze — odparł Home.

Wydał Ardrica władzom Federacji, kiedy tylko pierwszy statek wylądował na Skereth, a w międzyczasie, również i frakcja Morivenna była tutaj bardzo zajęta. Ardric wciąż uparcie i mściwie odmawiał przyznania się do czegokolwiek, chociaż już sam fakt, że wciąż żył, stanowił całkiem niezłe przyznanie. Jednak inni członkowie partii antyfederacyjnej, schwytani przez zwolenników Morivenna, byli znacznie mniej zatwardziali w swej determinacji. Należało do nich dwóch chłopaków, Mica i Durin, którzy przyznali się do udziału w planie unieszkodliwienia Vinsona, oraz jeden z mężczyzn, którzy brali udział w samym pobiciu młodego pilota w dzielnicy Nocnych Ptaków.

— Jednak nie będzie z tym żadnych kłopotów — mówił dalej Home, — a przynajmniej tak mi powiedzieli.

— No cóż — powiedział Wasek, — to świetnie. Cieszyłbym się, gdybyś znów ze mną służył, Home. W każdej chwili.

Wyciągnął dłoń, ale zawahał się, nie wiedząc, czy propozycja zgody zostanie przyjęta, i stał przez chwilę, wyglądając na tak strasznie zakłopotanego, że Home wyciągnął również i swoją.

— Zamiast tego powinienem ci znów przywalić — zauważył.

— Piekielnie dobry sposób na rozmowę pilota z kapitanem — stwierdził Wasek, lecz w jego głosie nie było słychać przekonania.

Kiedy odszedł, Yso popatrzyła na Home'a.

— Ile to zajmie, zanim będziesz mógł wrócić w kosmos?

— Niezbyt długo — odparł. — Komisja śledcza Federacji wkrótce otrzyma wszystkie moje zeznania, a także zeznania antyfederacjonistów, którzy zaaranżowali umieszczenie Ardrica na statku, w miejsce Vinsona. Moje oczyszczenie z zarzutów powinno wkrótce nadejść. — Popatrzył na nią i dodał zupełnie innym tonem: — Ale ja wracam potem na Skereth, Yso.

— Gdybyś tego nie zrobił, to ja poleciałabym z tobą — powiedziała.

Wziął ją za rękę i ruszyli dalej. Po chwili, za ich plecami, rozległ się donośny ryk wielkiego statku kosmicznego, który rozcinał atmosferę, wzniecając głośne echa, gdy wzbijał się w powietrze, kierując się ku odległym gwiazdom. Raz, drugi i trzeci, w Skambar, na ciemnym morzu i w odległym Rillah, uszy ludzi ze Skereth usłyszały je i wiedziały, że dzieci z Obrzeży wracają do domu.

KONIEC